



FIODOR DOSTOJEWSKI

*Le brodnia
i kara*

*Zbrodnia
i kara*

FIODOR DOSTOJEWSKI

Zbrodnia i kara

Przekład: Czesław Jastrzębiec-Kozłowski



Tytuł oryginału: *Преступление и наказание*

Przekład: **Czesław Jastrzębiec-Kozłowski**

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Zdjęcia na okładce: główne (front) – Jakub Schikaneder, Morderstwo w domu, 1890, Galeria Narodowa w Pradze (domena publiczna), pozostałe – Dreamstime.com:

© Nolimolly2, © Olga Lepeshkina, © Kittasgraphics, Freepik © visnezh

© Copyright for the Polish edition, cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2021

© Copyright for the Polish translation by Paweł Trzciński, 2021

Warszawa 2021



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sulkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN 978-83-8222-298-2

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

I	9
II	18
III	37
IV	51
V	64
VI	76
VII	90

CZĘŚĆ DRUGA

I	105
II	124
III	136
IV	152
V	164
VI	177
VII	200

CZĘŚĆ TRZECIA

I	223
II	238
III	252
IV	267
V	280
VI	302

CZĘŚĆ CZWARTA

I	317
II	332
III	346
IV	355
V	373
VI	394

CZĘŚĆ PIĄTA

I	405
II	424
III	439
IV	455
V	473

CZĘŚĆ SZÓSTA

I	491
II	502
III	517
IV	528
V	540
VI	556
VII	571
VIII	581

ANEKS

I	595
II	604

**CZĘŚĆ
PIERWSZA**

I

W początku lipca, pod wieczór niezwykle upalnego dnia, pewien młodzieniec wyszedł na ulicę ze swej izdebki, którą podnajmował od lokatorów przy uliczce S-ej, i powoli, jakby niezdecydowany, skierował się ku mostowi K-mu.

Na schodach szczęśliwie uniknął spotkania ze swoją gospodynią. Jego izdebka mieściła się tuż pod dachem wysokiej, pięciopiętrowej kamienicy i bardziej przypominała szafę niż mieszkanie. Gospodyni zaś, od której wynajmował tę izdebkę, wraz z obiadem i obsługą, zajmowała mieszkanie oddzielne, o piętro niżej; i za każdym razem, gdy wychodził na ulicę, koniecznie musiał przejść mimo jej kuchni, prawie zawsze na oścież otwartej na schody. I za każdym razem, przechodząc mimo, młodzieniec doznawał jakiegoś chorobliwego uczucia lęku, które go napełniało wstydem i wywoływało grymas. Już dużo był winien gospodyni i obawiał się ją spotkać.

Nie znaczy to, by był tak tchórzliwy i zahukany; wręcz przeciwnie; lecz od pewnego czasu był w stanie jakiegoś rozdrażnienia i napięcia podobnego do hipochondrii. Tak dalece pogrążył się w sobie, tak stroił od ludzi, że w ogóle lękał się wszelkiego spotkania, nie tylko z gospodynią. Gnębiło go ubóstwo; ale nawet te trudne warunki ostatnio przestały mu ciążyć. Swymi bieżącymi sprawami zupełnie przestał, zupełnie nie chciał się zajmować. Właściwie wcale gospodyni się nie bał, choćby ta nie wiadomo co przeciw niemu knuła. Lecz zatrzymywać się na schodach, wysłuchiwać paplaniny o tych wszystkich powszednich błahostkach, które go nic a nic nie obchodziły, wysłuchiwać

wszystkich tych nagabywań o komorne, pogróżek, skarg, a przy tym wykręcać się, wykłamywać, przepraszać — nie, już lepiej prześliznąć się schodami jak kot i zwiać tak, by nikt nie widział.

Zresztą tym razem obawa spotkania z wierzycielką zdumiała nawet i jego, gdy wyszedł na ulicę.

„Chcę się porwać na taką rzecz, a zarazem boję się takich głupstw!” — pomyślał z dziwnym uśmiechem. — „Hm... tak... Wszystko jest w ręku człowieka, a on pozwala zdmuchnąć sobie wszystko sprzed nosa, jedynie i wyłącznie z tchórzostwa... to pewna... Ciekawe, czego ludzie najbardziej się boją? Nowego kroku, nowego własnego słowa obawiają się nade wszystko... Zresztą za wiele gładzę. Dlatego też nic nie robię, że gładzę. A może i przeciwnie: dlatego gładzę, że nic nie robię. To przez ten ostatni miesiąc nauczyłem się gładzić, całymi dniami wylegując się w swoim kącie i rozmyślając... o niebieskich migdałach. Na przykład, po co teraz idę? Czyż jestem zdolny do tego? Czyż to jest poważne? Wcale nie poważne. Ot, dla dodania sobie fantazji bawię się myślami! Tak, bodaj że tylko się bawię!”

Na ulicy skwar był okropny, a przy tym zaduch, ścisk, co krok wapno, rusztowania, cegły, kurz i ten szczególny letni smród, tak dobrze znany każdemu petersburżaninowi, którego nie stać na lotnisko — to wszystko na raz niemile wstrząsnęło nerwami młodzieńca, już i tak rozstrojonymi. Nieznośny zaś fetor bijący z szynków, bardzo licznych w tej dzielnicy, oraz pijacy co chwila spotykani, mimo że to był dzień powszedni, jeszcze wzmacniali wstrętą i smutną barwę obrazu. Po delikatnej twarzy młodzieńca przemknął wyraz najgłębszej odrazy. Trzeba dodać, że był niepospolicie przystojny, o pięknych ciemnych oczach, ciemny blondyn, wzrostu więcej niż średniego, smukły i zgrabny. Lecz niebawem wpadł jakby w głęboką zadumę albo nawet raczej w jakąś nieprzytomność i dalej szedł, już ani dostrzegając, ani chcąc dostrzec otoczenie. Z rzadka tylko mruczał coś do siebie, powodowany nałogiem monologowania, do którego przyznał się sobie przed chwilą. Obecnie zaś sam zdawał sobie sprawę, że od czasu do czasu myśli mu się mąca i że jest bardzo osłabiony: już drugi dzień prawie nic nie miał w ustach.

Odziany był tak lichy, że niejeden, nawet otrząskany z biedą, w dzień krępowałby się wyjść na ulicę w takich łachmanach. Skądinąd, dzielnica była tego rodzaju, że niełatwo byłoby zaskoczyć tu kogokolwiek swym strojem. Bliskość placu Siennego, obfitość lokali wiadomego autoramentu, ludność przeważnie rękodzielnicza i rzemieślnicza, stłoczona w tych śródmiejskich petersburskich ulicach i zaułkach — niekiedy urozmaicały ogólną panoramę takimi typami, że naprawdę trudno się było zdziwić na widok takiej czy owakiej figury. Ale w duszy młodzieńca nagromadziło się tyle zacieklej pogardy, że mimo swą drażliwość, czasem bardzo jeszcze młodocianą, najmniej się wstydził swych łachmanów właśnie na ulicy. Inna sprawa, gdy trafiał na znajomych albo na dawnych kolegów, z którymi w ogóle nie lubił się spotykać... A jednak gdy jakiś pijak, którego nie wiadomo po co i dokąd wieziono ulicą w ogromnym wozie zaprzężonym w ogromnego wałacha, nagle zawołał do niego w przejeździe: „Hej, ty niemiecki kapeluszniku!”, i zarzyczał na całe gardło, wskazując na niego ręką — młodzieniec zatrzymał się zniecacka i kurczowo schwycił się za kapelusz. Był to kapelusz wysoki, okrągły, zimbermanowski, ale znoszony do szczytu, wyrudziały, w dziurach i plamach, bez ronda, szkaradnie zgnieciony z jednego boku. Lecz młodzieńca ogarnął nie wstyd, tylko zupełnie inne uczucie, przypominające raczej przestrasz.

— A co, czy nie wiedziałem! — mamrotał spłoszony — właśnie tak myślałem! To już najgorsze! Przecie jakieś takie głupstwo, jakiś najzwyklejszy drobiazg może pokrzyżować cały zamiar! Tak, ten kapelusz zanedto rzuca się w oczy... Jest śmieszny, i dlatego rzuca się w oczy... Przy takich łachmanach jak moje muszę koniecznie mieć kaszkiet, choćby jakiś stary naleśnik, a nie to czupiradło. Nikt takich nie nosi, gotowi o milę zauważyć, zapamiętać... Grunt, że potem sobie przypomną, no i masz poszlakę. Tu trzeba możliwie najmniej rzucać się w oczy... Drobiazgi, drobiazgi są najważniejsze!... Bo to te drobiazgi gubią zawsze i wszędzie...

Drogę miał niedaleką; wiedział nawet, ile kroków od bramy swego domu: dokładnie siedemset trzydzieści. Porachował je kiedyś, gdy się zanedto rozmarzył. Podówczas sam jeszcze nie wierzył tym swoim

marzeniom i tylko podjudzał się ich potwornym, ale i kuszącym zu-chwalstwem. Teraz zaś, po upływie miesiąca, już zaczynał patrzeć na to inaczej i wbrew wszystkim przekornym monologom o własnej bez-sile i niezdecydowaniu jakoś mimo woli przywykł już poczytywać „po-tworne” marzenie za realny plan, chociaż w dalszym ciągu nie wierzył sobie. Ot i teraz szedł dokonać próby swego planu i z każdym krokiem wzruszenie jego rosło coraz gwałtowniej.

Z zamierającym sercem, z nerwowym drżeniem podszedł do ol-brzymiej kamienicy, z jednej strony wychodzącej na kanał, z drugiej zaś na ulicę W-ą. Dom ten składał się z samych małych mieszkańek, a najmowali je różni rękodzielnicy, krawcy, ślusarze, kucharki, jacyś tam Niemcy, własnym przemysłem żyjące panny, drobni urzędnicy i tak dalej. Wchodzący i wychodzący przesmykiwali się raz po raz pod obydwiema bramami i na obydwu podwórkach. Pracowali tutaj trzej czy cztery stróże. Młodzieniec bardzo był rad, że nie spotkał żadnego z nich, i niepostrzeżenie przemknął się zaraz z bramy na prawo, na schody. Schody były ciemne i ciasne, „kuchenne”, ale on to wszystko już przedtem wiedział i zbadał, i całe to otoczenie dogadzało mu: w ta-kich mrokach nawet ciekawskie spojrzenie nie było niebezpieczne. „Jeżeli tak się boję teraz, to cóż by to było, gdyby rzeczywiście do-szło do tego?...” — pomyślał mimo woli, idąc na czwarte piętro. Tutaj zatarasowali mu drogę wysłużeni żołnierze-tragarze, wynoszący meble z jednego z mieszkań. Już wiedział, że mieszkanie to zajmuje pewien familijny Niemiec, urzędnik z rodziną. „Więc Niemiec się te-raz wyprowadza; więc na czwartym piętrze, przy tych schodach i przy tym podeście pozostaje na jakiś czas tylko jedno zajęte mieszkanie — staruchy... To dobrze... na wszelki wypadek...” — pomyślał znowu i zadzwonił do drzwi staruszki. Dzwonek dźwięknął wątle, jakby był z blachy, a nie z miedzi. Wszystkie mieszkanka w takich domach mie-wają takie dzwonki. Już nie pamiętał tego osobliwego dźwięczenia, więc teraz mu jakby coś przypomniało, coś jasno ukazało... Drgnął cały: widać zanadto osłabły mu nerwy tym razem. Po chwili drzwi się uchyliły nieznacznie; przez malutką szparkę lokatorka oglądała

przybysza z widoczną nieufnością, tak że można było dostrzec tylko jej błyszczące w ciemności oczka. Lecz zobaczywszy na podeście dużo ludzi, nabrała otuchy i otworzyła zupełnie. Młodzieniec przestał próg ciemnej sionki, przedzielonej przepierzeniem, za którym mieściła się maleńka kuchnia. Stara stała przed nim w milczeniu i patrzyła na niego pytająco. Była to drobniotka, sucha starowinka, w wieku jakich sześćdziesięciu lat, z ostrymi, złymi oczkami, z malutkim spiczastym nosem, bez chustki na głowie. Płowe, ledwie siwizną przyprószone włosy były tłusto nasmarowane olejem. Cienka i długa szyja, podobna do kurzej nogi, była omotana jakimś flanelowymi gałgankami, a z ramion, mimo upału, zwisała zniszczona i pożółkła salopka na futrze. Staruszka raz po raz kaszłała i postękiwała. Widocznie młodzieniec spojrzał na nią jakoś osobliwie, bo i w jej oczach mignęła naraz uprzednia nieufność.

— Raskolnikow, student; byłem już u pani przed miesiącem — pośpieszył mruknąć młody człowiek z półukłonem, przypominawszy sobie, że należy być grzeczniejszym.

— Pamiętam, mój dobrodziej, bardzo dobrze pamiętam, żeś już był — dobitnie rzekła staruszka, wciąż nie spuszczać pytających oczu z jego twarzy.

— Więc właśnie... I znowu w takiej sprawie... — ciągnął Raskolnikow, trochę zmieszany i zdziwiony nieufnością starej.

„A może ona zawsze jest taka, tylko zeszłym razem nie zauważyłem” — pomyślał z nieprzyjemnym uczuciem.

Stara milczała, jakby w zamyśleniu, potem usunęła się i wskazawszy mu drzwi do pokoju, rzekła, puszczając gościa naprzód:

— Proszę wejść, dobrodziej.

Nieduży pokój, do którego wszedł młodzieniec, pokój z żółtą tapetą, z geranium i muślinowymi firaneczkami na oknach, był w tej chwili jaszkrawo oświetlony zachodzącym słońcem. „Więc i wtedy także będzie świeciło słońce!...” — mimochodem błysnęło w umyśle Raskolnikowa. Szybkim spojrzeniem obrzucił wszystko w pokoju, ażeby w miarę możliwości zbadać i zapamiętać rozkład. Lecz w pokoju nie było nic

szczególnego. Na umeblowanie z brzozy, bardzo stare, składała się kanapa z olbrzymim giętym drewnianym oparciem, owalny stół przed kanapą, między oknami gotownia ze zwierciadłem, krzesła pod ścianami i dwa czy trzy groszowe obrazki w żółtych ramach, przedstawiające niemieckie panienki z ptaszkami w ręku — oto i wszystko. W kącie przed niewielkim świętym obrazem paliła się lampka oliwna. Wszystko było nader schludne: meble i podłogi wyszorowane do połysku, wszystko lśniło. „To robota Lizawiey” — pomyślał młodzieniec. — „Ani pyłku nie znalazłbyś w całym mieszkaniu. Tylko u złych i starych wdów bywa tak czysto” — ciągnął w duchu Raskolnikow i ciekawie zerknął na perkalikową zasłonę przed drzwiami do drugiej małej izdebki, gdzie stało łóżko starej i komoda, a dokąd jeszcze nigdy nie zaglądał. Całe mieszkanie składało się z tych dwu pokoi.

— O co chodzi? — surowo rzekła stara, wchodząc i znowu stając przed nim tak, żeby mu patrzeć prosto w twarz.

— Przyniosłem zastaw; proszę! — I wydobył z kieszeni stary płaski srebrny zegarek. Na kopercie wyryty był globus. Łańcuszek był stalowy.

— Ale przecież już minął termin poprzedniego zastawu. Przedwczoraj upłynął miesiąc.

— Zapłacę pani procenty za jeszcze jeden miesiąc; proszę mieć trochę cierpliwości.

— A, mój dobrodzieju, to zależy od mojej dobrej woli, czy mieć cierpliwość, czy też zaraz sprzedać tę twoją rzecz.

— Za zegarek dużo dostanę, Alono Iwanowno?

— Et, przynosisz byle co, nic to pewnie niewarte. Za pierścionelek dałam ci zeszłym razem dwa papierki, a u jubilera można i nowy taki dostać za półtora rubla.

— Niech pani da ze cztery ruble; wykupię na pewno, to zegarek ojcowski. Wkrótce dostanę pieniądze.

— Półtora rubelka i procent z góry, jeżeli pan chce.

— Półtora rubla! — zawołał młodzieniec.

— Jak się panu podoba. — I starucha podała mu zegarek z powrotem. Młody człowiek wziął go i tak się rozżłościł, że już miał odejść; lecz natychmiast się pomiarkował na myśl, że już więcej nie ma dokąd pójść i że zresztą przybył tutaj jeszcze w jednej sprawie.

— Niech pani daje! — rzekł grubiańsko.

Stara sięgnęła do kieszeni po klucze i poszła do drugiego pokoju za zasłonę. Młodzieniec, zostawszy sam pośrodku pokoju, ciekawie nasłuchiwał i kombinował. Usłyszał, jak stara otwiera komodę. „To zapewne górna szuflada — medytował. — A więc klucze nosi w prawej kieszeni... Wszystkie w jednym pęku, na stalowym kółeczku... Jeden z kluczy jest ze trzy razy większy od reszty, ma karbowane piórko; jest oczywiście nie od komody... To znaczy, że jest jeszcze jakaś szkatułka czy skrzynka... To ciekawe. Skrzynki zawsze miewają takie klucze... Swoją drogą, jakie to wszystko podłe...”

Stara wróciła.

— Oto masz, mój dobrodziej. Licząc po dziesiątce miesięcznie od rubla, za półtora rubla należy mi się piętnaście kopiejek, za miesiąc z góry. A za poprzednie dwa ruble jeszcze mi się należy, wedle tegoż rachunku, z góry dwadzieścia kopiejek. Czyli razem trzydzieści pięć. Więc teraz dostaniesz za zegarek ogółem rubla i piętnaście kopiejek. Oto są.

— Jak to! Więc teraz tylko rubel piętnaście?

— Ano tak.

Młodzieniec nie wdawał się w spory i wziął pieniądze. Patrzał na starą i nie spieszył z odejściem, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć czy zrobić, tylko sam nie wiedział, co mianowicie...

— Możliwe, Alono Iwanowno, że w najbliższych dniach przyniosę jeszcze jedną rzecz... srebrną... ładną... papierośnicę... jak tylko zwróci mi ją przyjaciel...

Zmieszał się i umilkł.

— Ha, to wtedy pomówimy o tym, dobrodziej.

— Żegnam panią... A pani wciąż sama siedzi w domu? Siostry nie ma? — zapytał możliwie najswobodniej, wychodząc do sionki.

— A co ci do niej, mój dobrodzieju?

— Ależ nic, oczywiście. Tak sobie zapytałem. A pani zaraz... Do widzenia, Alono Iwanowno!

Raskolnikow wyszedł, na dobre stropiony. Uczucie to wciąż się potęgowało. Na schodach kilkakrotnie nawet przystawał, jakby czymś zniecierpliwiony. A w końcu, już na ulicy, wykrzyknął:

— O Boże! Jakże to wszystko obmierzło! I czyż naprawdę, czy naprawdę ja... Nie, to nonsens, to niedorzeczność! — dorzucił stanowczo. — I czy rzeczywiście coś tak okropnego mogło mi przyjść do głowy? Tak czy owak, do jakiej podłości zdolne jest moje serce! Bo to przede wszystkim podle, paskudne, wstrętne, wstrętne!... A ja, przez cały miesiąc...

Ale nie mógł wyrazić ani słowami, ani okrzykami swego wzburzenia. Bezgraniczna odraza, która zaczynała gnębić i trapić jego serce już wtedy, gdy dopiero szedł do staruchy, wzmożła się teraz do takich rozmiarów i nabrała takiej wyrazistości, że nie wiedział, gdzie się podziać od tej udręki. Szedł chodnikiem jak pijany, nie widząc przechodniów i potracając ich, a opamiętał się dopiero na następnej ulicy. Rozejrzawszy się, spostrzegł, że stoi koło szynkowni, do której zstępowało się z chodnika po schodkach w dół, do sutereny. Z drzwi wychodziło właśnie dwóch pijaków; podtrzymując się wzajemnie i wymyślając sobie, gramolili się na ulicę. Niewiele myśląc, Raskolnikow od razu zszedł na dół. Dotychczas nigdy jeszcze nie wstępował do szynkowni, ale teraz kręciło mu się w głowie, a na dobitkę nękało go palące pragnienie. Zachciało mu się wypić zimnego piwa, tym bardziej że swoje nagłe osłabienie przypisywał głodowi. Usiadł w ciemnym i brudnym kącie, za lepkiem stolikiem, kazał sobie podać piwa i łapczywie wychylił pierwszą szklanę. Od razu poczuł ulgę, a myśli się przejaśniły. „Wszystko to są głupstwa — rzekł sobie z otuchą — i wcale nie było powodu tak się przejmować! Po prostu osłabienie fizyczne! Wystarczy szklanka piwa, kawałek sucharka — i oto w jednej chwili umysł się wzmacnia, myśl staje się jasną, zamiary nabierają tężyzny! Tfu, jakież to wszystko marne!...”.

Ale mimo to pogardliwe splunięcie patrzył już wesoło, jak gdyby nagle wyzwolony od jakiegoś okropnego brzemienia, i przyjaźnie mierzył okiem obecnych. Jednak i w tej chwili mgliście przeczuwał, że całe to optymistyczne nastawienie również jest chorobliwe.

W szynkowni o tej porze pozostawało niewiele gości. Oprócz tych dwóch pijaków, z którymi się zetknął na schodkach, tuż po nich wytoczyła się jeszcze cała gromada, jakich pięć osób, z jedną dziewczyną i z harmonią. Po ich wyjściu zrobiło się cicho i przestronno. Pozostali: jeden podchmielony, ale nie zanadto, siedzący nad piwem, z wyglądu mieszczanin, oraz jego towarzysz, otyły, siwobrody drągał w kózusku, mocno zawiany; ten drzemał na ławce i z rzadka, nagle, jak gdyby zbudzony ze snu, zaczynał strzelać z palców, rozstawiwszy ręce i podrzucać górną częścią tułowia, nie wstając z ławki, przy czym nucił jakieś banialuki, usiłując przypomnieć sobie wiersze w rodzaju:

*Cały rok pieściłem żonę,
Cał-ły rok pieś-cilem żo-nę...*

Albo raptem, znowu się przecknąwszy:

*Raz na miasto się wybrałem,
Dawną miłą swą spotkałem...*

Ale nikt nie podzielał jego rozanielenia; milkliwy jego towarzysz patrzył na wszystkie te wybuchy nawet wrogo i nieufnie. Był tu jeszcze jeden człowiek, wyglądający na emeryta. Siedział na uboczu, przed swoją flaszką, z rzadka łykał jeden haust i rozglądał się dookoła. On także wydawał się czymś wzburzony.

II

Raskolnikow nie był przyzwyczajony do tłumu i jakeśmy już powiedzieli, unikał wszelkiego towarzystwa, zwłaszcza w ostatnich czasach. Ale teraz pociągnęło go nagle do ludzi. Dokonywało się w nim coś nowego, a zarazem budziła się potrzeba obcowania z ludźmi. Tak go wymęczył ten cały miesiąc ostrej udręki i ponurego podniecenia, że chciał bodaj przez chwilę zaczerpnąć powietrza w innym świecie, jakimkolwiek bądź; i bez względu na całe niechlujstwo otoczenia z przyjemnością siedział teraz w szynkowni.

Gospodarz lokalu był w innej izbie, ale często wchodził tutaj, do izby głównej, skądś do niej zstępując po schodkach, przy czym ukazywały się nasamprzód jego eleganckie lakierowane buty z dużymi czerwonymi wyłogami. Miał na sobie spencerek i okropnie zatłuszczoną czarną atłasową kamizelkę, był bez krawata, a cała jego twarz zdawała się naoliwiona niby żelazna kłódka. Za szynkwasem stał czternastoletni może wyrostek, drugi zaś, młodszy chłopiec usługiwał, gdy goście czego zażądali. Stały talerzyki z mizerią, czarnymi sucharkami i na dzwonka pokrajaną rybą; wszystko to pachniało nader niezachęcająco. Nieznośnie duszne powietrze sprawiało, że trudno tu było wysiedzieć, a wszystko było tak przepełnione odorem okowity, że miało się wrażenie, iż od samego tego zaduchu można w ciągu pięciu minut stać się pijanym.

Niekiedy spotykamy ludzi zupełnie nam obcych, którymi zaczynamy się interesować od pierwszego wejrzenia, jakoś raptownie, zniebacznie, zanim choć słowem się do nich odezwiemy. Właśnie takie wrażenie wywarł na Raskolnikowie ów gość, który siedział opodal

i przypominał emerytowanego urzędnika. Później młodzieniec kilkakrotnie uprzytomnił sobie to pierwsze wrażenie, ba, przypisywał je przeczuciu. Ustawicznie popatrywał na urzędnika, naturalnie i z tego powodu, że tamten również uparcie na niego patrzył i najwidoczniej miał chętkę wdać się z nim w rozmowę. Na resztę zaś obecnych, nie wyłączając i gospodarza, urzędnik patrzył z obojętnością i nawet ze znudzeniem, a jednocześnie z odcieniem jakiejś lekceważącej wyższości, niby na ludzi niższego stanu i poziomu, z którymi nie warto się zadawać. Był to człowiek już po pięćdziesiątce, średniego wzrostu i krępej budowy, szpakowaty, z dużą łysiną, z twarzą nalaną wskutek ciągłego pijaństwa, żółtą, aż zielonkawą, z nabrzmiałymi powiekami, spoza których błyszczały malutkie jak szparki, ale żywe, przekrwione oczki. Lecz było w nim coś bardzo dziwnego; w jego wzroku świeciła jakaś egzaltacja — kto wie, może by się znalazła i roztropność, i rozum — ale zarazem migąło chwilami jak gdyby szaleństwo. Ubrany był w stary, do cna obszarpany frak, z poobrywanymi guzikami; tylko jeden trzymał się jeszcze z biedą, i na ten jeden guzik urzędnik się zapinał, widać przez resztkę dbałości o pozory. Spod nankinowej kamizelki sterczał półkoszulek, zmiętoszony, wybrudzony i zalany. Twarz była po urzędniczemu ogolona, lecz tak już dawno, że gęsto zaczynała występować sinawa szczeń. A i w jego sposobie bycia zaznaczała się rzeczywiście jakaś urzędnicza stateczność. Ale teraz był w rozterce, burzył sobie włosy, a od czasu do czasu ruchem przygnębienia ujmując głowę obiema rękoma, kładł dziurawe łokcie na zalanym i lepkim stole. W końcu spojrzął na Raskolnikowa wprost, po czym przemówił głośno i dobitnie:

— A czy mi wolno, łaskawy panie, zwrócić się do niego z rozmową pełną przyzwoitości? Albowiem jakkolwiek nie wygląda pan teraz imponująco, wszelakoż moje doświadczenie wyróżnia w panu człowieka wykształconego i do trunków nienawykłego. Sam zawsze czciłem wykształcenie, połączone z zaletami serca, ponadto zaś mam honor być radcą tytularnym. Marmieładow — takie nazwisko; radca tytularny. Ośmielę się zapytać: pan był w służbie państwowej?

— Nie, studiuje... — odparł młody człowiek, trochę zdziwiony i tym osobliwym górnolotnym stylem, i okolicznością, że się do niego zwrócono tak wręcz, prosto z mostu. Choć niedawno pragnął przelotnie jakiegokolwiek bądź zetknięcia się z ludźmi, jednak teraz, przy pierwszym istotnie zwróconym do siebie słowie, nagle poczuł znowu zwykłą, gniewną i przykrą odrazę do każdego obcego, który się otarł albo dopiero chciał się otrzeć o jego osobowość.

— Więc student lub były student! — wykrzyknął urzędnik. — Właśnie tak sobie pomyślałem! Doświadczenie, szanowny panie, niejednokrotne doświadczenie! — i na znak uznania przytknął sobie palec do czoła. — Był pan studentem, czyli zgłębiał dziedzinę wiedzy! Pan pozwoli...

Tu wstał, zachwiał się, zagarnął swą butelkę, szklaneczkę i przysiadł się do młodzieńca, nieco na ukos od niego. Był pijany, ale mówił potocznie i wartko, z rzadka tylko tracąc tu i ówdzie wątek i kołując. Na Raskolnikowa rzucił się wprost zachłannie, jak gdyby i on także przez cały miesiąc z nikim nie rozmawiał.

— Łaskawy panie — zagał niemal uroczyście — ubóstwo nie jest występkiem, to fakt. Wiem dobrze, że i pijaństwo nie jest cnotą; tym ci gorzej. Ale nędza, szanowny panie, nędza — to występki. W biedzie człowiek jeszcze zachowuje szlachetność wrodzonych uczuć, natomiast w nędzy — nikt i nigdy. Za nędzę — nie powiem nawet, by kijem wypędzano, ale wprost miotłą wymiatają z ludzkiego towarzystwa, ku tym większej zniewadze. I słusznie, albowiem w nędzy ja pierwszy gotów jestem sam siebie znieważać. I stąd trunkowość! Szanowny panie, przed miesiącem małżonkę moją obił pan Lebieziatnikow, a moja małżonka — to nie to co ja! Rozumie pan? Pozwolę sobie zapytać jeszcze, ot, po prostu z ciekawości: czy szanownemu panu zdarzało się nocować na Newie, na berlinkach z sianem?

— Nie, nie zdarzało się — odparł Raskolnikow. — Cóż to takiego?

— No, a ja właśnie stamtąd, i to już piątą noc...

Nalał sobie do szklaneczki, wypił i zamyślił się. W rzeczy samej, na jego ubraniu i nawet we włosach widniały gdzieśgdzieś żdziebelka siana. Było bardzo prawdopodobne, że od pięciu dni nie rozbierał

się i nie mył. Zwłaszcza ręce miał brudne, zasmolone, czerwone, z czarnymi paznokciami.

Jego gadanina ściągnęła na siebie ogólną uwagę, zresztą ospałą. Smarkacze za szynkwasem zachichotali. Gospodarz specjalnie bodaj zeszedł z górnego pokoju, żeby posłuchać „żartownisia”, i siadł opodał, ziewając leniwie, lecz z dostojeństwem. Widocznie Marmieladow był tu znany od dawna. A i zamięlowania do hałaśliwych rozpraw nabył przypuszczalnie wskutek częstych szynkownianych rozmów z różnymi nieznanymi. Czasem ten nawyk przeistacza się u alkoholików w prawdziwą potrzebę, szczególnie zaś u tych, których w domu traktuje się szorstko i którymi się pomiata. Dlatego też w kompanii pijaków usiłują oni zawsze jakby zdobyć sobie usprawiedliwienie, gdy się zaś uda, to i szacunek.

— Ty, żartowniś! — gromko rzekł gospodarz. — A czemu nie pracujesz, czemu nie służysz, skoroś urzędnik?

— Czemu nie służę, szanowny panie? — podchwycił Marmieladow, zwracając się wyłącznie do Raskolnikowa, jakby to on zadał mu pytanie. — Czemu nie jestem w służbie? A czyż serce moje nie boleje nad tym, że się czołgam bezowocnie? Gdy przed miesiącem pan Lebieziatnikow własnoręcznie pobił moją małżonkę, a ja leżałem pijaniuteńki, czyżem nie cierpiał? Daruj, młodzieńcze: czy ci się trafiło... hm... na przykład zabiegać o pożyczkę beznadziejnie?

— Owszem... ale niby jak to: beznadziejnie?

— To znaczy z beznadziejnością całkowitą, z góry wiedząc, że z tego nic nie będzie. Oto na przykład pan wie z góry i niezachwianie, że ten a ten człowiek, ten a ten wysoce prawomyślny i wysoce użyteczny obywatel za żadne skarby pieniędzy panu nie da, bo i po cóż — pytam — miałby dać? Przecie wie, że mu nie zwróć. Ze współczucia? Ależ pan Lebieziatnikow, który śledzi rozwój mych myśli, tłumaczył świeżo, że w naszych czasach współczucie zostało zakazane nawet przez naukę, i tak się już dzieje w Anglii, gdzie panuje ekonomia polityczna. Więc po cóż, pytam, miałby dać? Otóż, z góry wiedząc, że nie da, pan mimo to wybiera się w drogę i...

— W jakimże celu? — wtrącił Raskolnikow.

— Dobrze, a jeżeli nie ma już do kogo, nie ma już dokąd pójść! Przecie koniecznie trzeba, żeby każdy człowiek mógł choć dokądkolwiek pójść. Albowiem bywają takie dnie, kiedy nieodzownie trzeba pójść, choć gdziekolwiek bądź! Gdy córka moja po raz pierwszy wyszła z żółtym biletem, i ja także poszedłem wtedy... gdyż moja córka legitymuje się żółtym biletem... — dodał nawiasowo, z pewnym niepokojem patrząc na młodzieńca. — To nic, łaskawy panie, to nic! — dorzucił skwapliwie i z pozornym spokojem, gdy obaj chłopcy parsknęli śmiechem, a i sam gospodarz się uśmiechnął. — To nic! Tego kiwania głowami nie biorę sobie do serca, albowiem już wszystkim wiadomo i cokolwiek było tajne, na jaw wychodzi; a mam się do tego nie ze wzgardą, lecz z pokorą. Niech tam! Niech tam! *Ecce homo!* Daruj, młodzieńcze: czy możesz... Ale nie, trzeba to powiedzieć mocniej i wyraziściej: nie czy możesz, lecz czy się ośmielisz, spoglądając w tej chwili na mnie, orzec twierdząco, żem nie świnia?

Młodzieniec nie odpowiedział ani słowa.

— Owóż — ciągnął dalej mówca, statecznie i nawet ze spotęgowaną tym razem godnością, przeczekawszy, aż umilkną ponowne chichoty. — Owóż, niech będę świnia, ale ona jest damą! Ja dźwigam na sobie podobieństwo zwierzęce, lecz Katarzyna Iwanowna, moja małżonka, jest osobą wykształconą, córką oficera sztabowego. Niechaj, niechaj będę szubrawcem, natomiast ona jest i wzniosłego serca, i pełna uczuć wyszlachetnionych przez edukację. A tymczasem... o, gdybyż ona mnie pożałowała! Szanowny panie, szanowny panie, przecież trzeba, żeby każdy człowiek miał bodaj jedno takie miejsce, gdzieby go pożałowano! A Katarzyna Iwanowna jest wprawdzie damą wielkoduszną, ale niesprawiedliwą... I chociaż sam rozumiem, że kiedy mię targa za kudły, to targa je nie inaczej, tylko z żalości serdecznej (albowiem, powtarzam to bez fałszywego wstydu, ona mnie targa za kudły, młodzieńcze — potwierdził z tym większą godnością, znowu słysząc prześmiejchy), ale mój Boże, gdybyż ona choć jeden raz... Lecz nie! Nie! Wszystko to nadaremnie i nie ma

o czym gadać! Nie ma o czym gadać!... Albowiem już nieraz zdarzało się to upragnione, już nieraz żałowano mnie, lecz... lecz taki już jest rys mego charakteru: jestem urodzone bydlę!

— Ja myślę! — zauważył gospodarz, ziewając.

Marmieladow z determinacją stuknął pięścią w stół.

— Taki już rys mego charakteru! Czy ci wiadomo, czy ci wiadomo, szanowny panie, żem przepił nawet jej pończochy? Nie trzewiki, bo to by jeszcze choć trochę przypominało zwykłą kolej rzeczy, ale przepiłem jej pończochy, pończochy! Chusteczkę jej z koziej wełny także przepiłem — darowaną, dawną, jej własną, nie moją; mieszkamy zaś w zimnym kącie, tak że teźże zimy przeziębila się i zaczęła kaszleć, już krwią. A drobnych dziątek mamy troje i Katarzyna Iwanowna jest zaharowana od rana do nocy, szoruje, pucuje, dzieci myje, albowiem od małości przywykła do ochędóstwa, a pierś ma słabą, skłonną do suchot, i ja to odczuwam. Czyż nie odczuwam? Owszem, im więcej piję, tym więcej odczuwam. Właśnie dlatego piję, że w trunku tym szukam współczucia i serca. Nie wesela szukam, lecz jedynie boleści... Piję, albowiem pragnę dotkliwiej cierpieć!

I jakby w rozpacz, oparł głowę o stół.

— Młodzieńcze — podjął, znów się wyprostowawszy — z twojej twarzy czytam niejaką boleść; jak tylko wszedłeś, wyczytałem to i dlatego zwróciłem się od razu do ciebie. Komunikując bowiem panu dzieje żywota mego, nie pragnę wystawić się na pośmiewisko tych oto próżniaków, którzy i tak o wszystkim już wiedzą, lecz szukam człowieka czułego i wykształconego. Wiedz tedy, że moja małżonka pobierała edukację w szlacheckim gubernialnym instytucie dla dobrze urodzonych pańien i że po końcowym egzaminie tańczyła z szalem w obecności gubernatora i innych osobistości, za co też otrzymała złoty medal oraz świadectwo uznania na piśmie. Medal... ha, medal sprzedaliśmy... już dawno... hm... świadectwo zaś przechowuje dotychczas w swoim kufrze i świeżo pokazywała je gospodyni mieszkania. Bo jakkolwiek między nią a tą gospodynią najnieustanniej wywiązują się niesnaski, ale zachciało się jej przed kimkolwiek poszczycić, kogokolwiek

powiadomić o szczęśliwych dniach przeszłości. I ja nie potępiam, nie potępiam, jako że to jedno jej pozostało we wspomnieniach, cała zaś reszta poszła w rozsypkę! Tak, tak — dama to porywcza, dumna i nieugięta. Sama szoruje podłogę, żywi się razowcem, ale nikomu nie pozwoli na brak szacunku dla siebie. Dlatego też i panu Lebieziatnikowowi nie zechciała puścić płazem jego ordynarności, a gdy ją za to pan Lebieziatnikow poturbował, rozchorowała się nie tyle z powodu razów, ile z powodu urażonych uczuć. Ja ją poślubiłem już jako wdowę z dwojgiem dzieci — jedno mniejsze od drugiego. Po raz pierwszy wyszła za mąż za oficera piechoty, z miłości, i z nim uciekła z domu rodzicielskiego. Męża kochała nadmiernie, lecz on się zaczął bawić karcietami, trafił przed kratki, tak już zmarł. Pod koniec biła ją; ona zaś, jakkolwiek mu nie folgowała, o czym mi wiadomo autentycznie i na podstawie dokumentów, wszelakoż dotychczas go wspomina ze łzami w oczach i mnie go stawia za wzór; a ja się cieszę, cieszę, że przynajmniej w wyobraźni widzi się szczęśliwą niegdyś... I została po nim z dwojgiem nieletnich dzieci w powiecie dalekim i bestialskim, gdzie i ja się podówczas znajdowałem; została w takiej beznadziejnej nędzy, że chociaż bywałem w życiu w różnorakich opałach, ale nawet nie jestem w stanie tego opisać. Wszyscy zaś krewni odstrychnęli się. Bo też była dumna, nad miarę dumna... I otóż wtedy, szanowny panie, wtedy ja, również wdowiec, z pierwszej żony czternastoletnią córkę mający, oświadczyłem się jej, jako że nie mogłem patrzeć na takie cierpienia. Pan może z tego sądzić, do jakiego stopnia doszła jej niedola, skoro ona, dobrze wychowana i wykształcona, ze znanej rodziny, zdecydowała się wyjść za mnie! Ale wyszła! Płacząc i łkając, załamując ręce — wyszła! Bo nie miała gdzie pójść. Czy pan rozumie, czy pan rozumie, łaskawy panie, co to znaczy, kiedy człowiek nie ma już gdzie pójść? Nie! Tego pan jeszcze nie rozumie... I przez cały rok spełniałem swą powinność po bożemu i święcie, nie tykałem tego — tu szturknął palcem butelkę — albowiem serce mam. Aliści i tym nie potrafiłem dogodzić; a tymczasem straciłem posadę — także nie z własnej winy, tylko skutek przesunięć personelu; i wówczas

dotknąłem!... Już temu półtora roku znaleźliśmy się, po wędrówkach i licznych niedolach, w tej oto stolicy wspaniałej i niezliczonymi pomnikami uświetnionej. Tutaj dostałem posadę... Dostałem i znów straciłem. Rozumie pan? Tutaj już straciłem z własnej winy, albowiem opętało mnie to... Zamieszkujemy teraz kątem u gospodyni, Amalii Fiodorowny Lippewechsel, z czego zaś żyjemy i z czego płacimy — nie wiem. Mieszka tam dużo osób poza nami... Najniebezpieczniejsza Sodoma... Hm... tak... A tymczasem podrosła moja córka z pierwszego małżeństwa, ile zaś wycierpiała ta moja córka od swej macochy, gdy podraستاła, o tym zamilczę. Bo aczkolwiek Katarzyna jest pełna wielkodusznych uczuć, ale to dama porywcza, drażliwa, i czasem... Tak! No, ale nie ma o czym wspominać! Edukacji, jak pan to sobie łatwo wyobrazi, Sonia nie otrzymała. Przed jakimi czterema laty próbowałem przechodzić z nią geografię i historię powszechną; ale że i sam byłem w tej dziedzinie nietęgi, a przyzwoitych podręczników nie miałem, bo książki, jakieśmy posiadali... no, słowem, nie ma już tych książek, więc na tym cała nauka się skończyła. Przerwaliśmy na Cyrusie Perskim. Potem, gdy już przysłała do lat, przeczytała kilkoro ksiąg treści romansowej, a niedawno, za pośrednictwem pana Lebieziatnikowa, z wielkim zajęciem przewertowała jedno dzieło, *Fizjologię* Lewisa (szanowny pan to zna?), i nawet urywkami na głos nam udzielała; oto i cała jej oświata. Teraz zaś, szanowny mój panie, we własnym imieniu skieruję do pana pytanie prywatne: czy, zdaniem pańskim, panna uboga, lecz uczciwa, dużo może zarobić własną uczciwą pracą?... Ani piętnastu kopiejek dziennie nie zarobi, proszę pana, jeżeli jest uczciwa i nie posiada specjalnych talentów; a i to pod warunkiem, że ręce sobie urobi! Na domiar radca Klopstock, Iwan Iwanowicz (szanowny pan słyszał o nim?), nie dość, że dotychczas nie uiścił należności za uszycie pół tuzina koszul holenderskich, lecz owszem, w sposób obraźliwy wyrzucił ją, tupiąc nogami i piętnując nieprzystojnym przewiskiem, pod pozorem, jakoby kołnierz koszuli uszyto nie wedle miary i krzywo. A tymczasem dzieciarnia głodna... A tymczasem Katarzyna, załamując ręce, chodzi po pokoju,

na policzkach jej ukazują się wypieki — jak to zawsze bywa w tej chorobie. Że niby: „Mieszkasz tu u nas, darmożjadzie jeden, jesz, pijesz, korzystasz z ciepła...”. Bogiem zaś a prawdą, cóż ona tam „je i pije”, kiedy w domu chuda fara, że nawet dziatwa po trzy dni z rzędu nie widuje skórki chleba! Leżałem wtedy... ha, nie będę obwijał w bawełnę! Leżałem pijaniusieńki, a wtem słyszę, jak moja Sonia mówi (cichutka jest taka, głosik ma taki potulny... blondyneczka, liczko zawsze bledziutkie, chudziutkie), słyszę, jak mówi: „Więc jakże, Katarzyno Iwanowno? Czyż mam się puścić na taką rzecz?”. A trzeba panu wiedzieć, że niejaka Daria Francowna, niewiasta złej woli i policji wielokrotnie znana, już ze trzy razy dopytywała się przez gospodynię. „Ha — odpowiada Katarzyna z przekąsem — o cóż masz się drożyć? To mi dopiero skarby!”. Ale niech pan nie wini, panie szanowny, niech pan nie wini! Powiedziane to było nie przy zdrowych zmysłach, lecz przy uczuciach wzburzonych, w chorobie, przy płaczu dzieci o chleb, zresztą zostało to powiedziane raczej dla obrazu niż w ścisłym znaczeniu... Albowiem małżonka moja taki już ma charakter, że gdy się dzieci rozplaczą, chociażby z głodu, natychmiast zaczyna je bić. I oto widzę o jakiej szóstej godzinie: Sonieczka wstała, włożyła chusteczkę, włożyła paletko i wyszła z mieszkania, a o dziewiątej wróciła. Przyszła, idzie wprost do Katarzyny i w milczeniu kładzie przed nią na stole trzydzieści rubli. Ani słówka przy tym nie pisnęła, nie spojrzała nawet, tylko wzięła nasz duży dradedamowy zielony pled (mamy taki wspólny pled, z dradedamu), nakryła nim głowę i twarz i położyła się na łóżku, twarzą do ściany, że tylko ramionka i ciało dygocą... Ja zaś leżałem w takimże stanie jak poprzednio... I widziałem wówczas, młodzieńcze, widziałem, jak później Katarzyna, również ani słowa nie mówiąc, podeszła do łóżeczka Soni i cały wieczór przeklęczała przy niej, nogi jej całowała, nie chciała wstać, a potem obydwie razem zasnęły, objąwszy się... obydwie... obydwie... tak... a ja... leżałem pijaniuteńki.

Marmieladow umilkł, jakby mu głos odebrało. Potem porywczo nałapał sobie, wypił, odchrząknął.

— Od tego czasu, panie mój — ciągnął dalej po chwili milczenia — od tego czasu, wskutek pewnego niepomyślnego wydarzenia i na podstawie doniesień osób złej woli — w czym brała najczynniejszy udział Daria Francowna, ponoć za to, że jej uchybiono w należnym szacunku — od tego czasu córka moja Zofia zmuszona była wyrobić sobie żółty bilet i z tej racji nie może już przebywać z nami. Albowiem i gospodyni, Amalia Fiodorowna, nie chciała na to pozwolić (choć przedtem sama szła na rękę owej Darii), a i pan Lebieziatnikow... hm... właśnie o Sonię wywiązało się to zajście między nim a moją małżonką. Przedtem on sam molestował Sonieczkę, a teraz wzbili się raptem w ambicję: „Jak to! Ja, człowiek tak oświecony, mam przebywać w jednym mieszkaniu z taką?...”. A Katarzyna tego nie przelknęła, ujęła się... No i wybuchło... Teraz Sonieczka bywa u nas tylko o zmierzchu, stara się pomóc Katarzynie, w miarę sił i możliwości dostarcza środków... Mieszka zaś u krawca Kapernaumowa, podnajmuje u nich stancję; a Kapernaumow jest kulawy i ma kluski w ustach, i cała jego liczna rodzina także ma kluski w ustach. Kluski w ustach ma też jego żona... Gnieźdzą się w jednym pokoju, a Sonia ma swój, osobny, z przepierzeniem... Hm, tak... Ludzie to wielce ubodzy i z utrudnioną wymową... tak... Jakem tylko wstał wówczas nazajutrz, wdziałem łachmany moje, ramiona wzniosłem ku niebu i udałem się do jego ekscelencji Iwana Afanasiewicza. Szanowny pan zna jego ekscelencję Iwana Afanasiewicza?... Nie? W takim razie nie zna pan bożego człowieka! Jest to воск... воск przed Obliczem Pańskim; jako воск tający!... Raczył wszystkiego wysłuchać i nawet lzę uronił. „Ha, Marmieladow! Już raz mnie zawiodłeś... Biorę ciebie raz jeszcze na swoją osobistą odpowiedzialność — tak się właśnie wyraził — zakonotuj to sobie — powiada — ruszaj!”. Ucałowałem proch u stóp jego — myślowo, bo w rzeczywistości nie pozwoliłby, będąc dostojnikiem i mężem nowych, państwowotwórczych i oświeconych poglądów. Wróciłem do domu, a kiedyś oświadczyłem, że znowu zaliczony do personelu i pobieram pensję — o Boże, cóż to wówczas było!...

Marmieladow znowu przerwał, mocno przejęty. W tej chwili weszła z ulicy cała kompania opojów, już urżniętych; za drzwiami rozległy się dźwięki wynajętej katarynki, a dziecięcy, zerwany siedmioletni głosik zaśpiewał *Chutorek*. Wszczął się harmider. Gospodarz i służba zajęli się nowoprzybyłymi. Marmieladow, nie zwracając uwagi na przybyszów, podjął swe opowiadanie. Zdaje się, że bardzo osłabł, lecz im bardziej rozbierała go wódka, tym się stawał gadatliwszy. Wspomnienia o świeżym sukcesie biurowym ożywiły go i nawet odbiły się na jego twarzy jakąś promiennością. Raskolnikow słuchał uważnie.

— Działo się to, panie łaskawy, przed pięcioma tygodniami. Tak... Skoro tylko dowiedziały się obie, Katarzyna i Sonieczka — o Boże, jakbym się przeniósł do raju niebieskiego. Dawniej, bywało, leży człowiek jak bydlę i słyszy tylko wymysły. A teraz: chodzą na paluszkach, uciszają dzieci: „Ojciec zmęczył się w biurze, odpoczywa, cyt!”. Przed wyjściem do biura poją mnie kawą, grzeją śmietankę! Zaczęły się starać o prawdziwą śmietankę, słyszy pan! Skąd wytrzasnęły jedenaście rubli pięćdziesiąt kopiejek na przyzwoite umundurowanie dla mnie, pojęcia nie mam. Buty, świeże półkoszulki — jak najwspanialsze, małopolańskie, uniform, wicmundur, wszystko za jedenaście i pół rubla w najprzedniejszym gatunku. Pierwszego dnia przychodzę przed południem z biura, patrząc: Katarzyna przyrządziła dwa dania, zupę i peklowinę z chrzanowym sosem, o jakich to rzeczach nie było przedtem słuchu ani ducha. Sukienek nie ma ona żadnych... ale to co się zowie żadnych, a tu raptem jak gdyby się wybierała w odwiedziny, wystroiła się, i to nie byle jak; z niczego potrafi wszystko zrobić — uczesze się, jakiś tam czyściutki kołnierzycek, mankieciki — i patrzcie mi, zupełnie inna osoba, odmłodziła, wyprzystojniała. Sonieczka, ptaszyna moja, wspierała tylko pieniędzmi, mnie zaś samej — powiada — nie wypada teraz bywać u was często, chyba dopiero o zmierzchu, żeby nikt nie widział. Słyszy pan, słyszy pan? Po obiedzie przyszedłem się zdrzemnąć — i cóż pan myśli? Małżonka moja nie wytrzymała:

nie dalej niż przed tygodniem nauręgały sobie z gospodynią, z Amalią Fiodorową, na czym świat stoi, a teraz zaprosiła ją na filiżankę kawy. Przesiedziały dwie godziny i ciągle szuszu między sobą. Że niby: „Teraz mąż mój jest na posadzie, bierze pobory, chodzi do samego eksceleńcji, a eksceleńcja wyszedł do niego osobiście, wszystkim kazał czekać, a męża wziął pod rękę i przy wszystkich zaprowadził do gabinetu”. Słyszysz pan, słyszysz pan? „Siemionie Zacharyczu” — powiada — „ja naturalnie pamiętam o pańskich zasługach i chociaż pan hołduje tej lekkomyślnej słabostce, ale ponieważ teraz dałeś obietnicę, a ponadto nam tu bez ciebie szło kulawo (słyszysz pan, słyszysz?), więc polegam na twoim szlachetnym słowie”. Czyli, powiadam panu, wszyściuteńko wyssała z palca, i to nawet nie z trzpiotowości, dla próżnej przechwałki! Nie, sama we wszystko wierzy, własnymi urojeniami bawi siebie, jak Boga kocham! A ja nie potępiam; nie, tego ja nie potępiam! Gdy zaś przed sześciu dniami przyniosłem, nic nie uszczknawszy, pierwszą swoją pensję, dwadzieścia trzy ruble czterdzieści kopiejek — nazwała mnie dziubdziusiem. „Dziubdziusiu ty mój!” — powiada. I to na osobności, rozumie pan? Zdawałoby się, że coś we mnie miłego, że jakież tam ze mnie mąż! Otóż nie; uszczypnęła mnie w policzek i powiada: „Dziubdziusiu ty mój!”

Marmieladow umilkł, chciał się uśmiechnąć, ale nagle broda zaczęła mu się trząść. Jednak opanował się. Ten szynk, twarz nosząca ślady rozpusty, pięć nocy na barkach z sianem, ta butelka, a zarazem ta chorobliwa miłość do żony i rodziny — wszystko to zbijało z tropu jego słuchacza. Raskolnikow słuchał w napięciu, lecz z dotkliwą przykrością. Był zły na siebie, że tu przyszedł.

— Szanowny panie, szanowny panie! — zawołał Marmieladow, otrząsnawszy się. — O szanowny mój panie, może pana to wszystko śmieszy, jak i innych, może nudzę pana głupotą tych wszystkich mizernych szczegółików domowego życia mego; ale mnie jest nie do śmiechu! Albowiem ja to wszystko odczuwam... I cały ten rajski dzień żywota mego, i cały ów wieczór spędziłem w polotnych marzeniach:

jak ja to wszystko urządzę i dzieciarni sprawię przyodziewek, i jej zapewnię spokój, i córkę swą jednorodzoną dźwignę z otchłani upadku z powrotem na łono rodziny... I różne takie różności... To przecie wolno, proszę pana. Aliści, łaskawco mój (tu Marmieladow drgnął zniecierliwie, podniósł głowę i wpatrzył się prosto w swego słuchacza), aliści już nazajutrz po wszystkich tych rojeniach (czyli dokładnie przed pięcioma dobami), pod wieczór, za pomocą podstępnego fortelu, jako złodziej nocny, przywłaszczyłem sobie klucz od kuferka małżonki mojej, wydobyłem wszystko, co zostało z przyniesionej pensji, już nie pamiętam ile mianowicie — no i proszę spojrzeć na mnie! Pięć dni, jak wyszedłem z domu, a tam mnie szukają, z posadą amen, mundur leży w szynkowni przy moście Egipskim, za co też otrzymałem w zamian to oto obłóczenie. Wszystko skończone!

Marmieladow uderzył się pięścią w czoło, zaciął zęby, zamknął oczy i mocno oparł się łokciem na stole. Lecz po chwili twarz mu się nagle zmieniała; z jakimś udanym kpiarstwem, z wymuszoną beczelnością popatrzył na Raskolnikowa, zaśmiał się i powiedział:

— A dzisiaj byłem u Soni, poprosiłem o gotóweczkę na poprawiny! Che-che-che!

— Chyba nie dała? — krzyknął ze strony któryś z nowoprzybyłych, krzyknął i zarechotał na całe gardło.

— Ta oto butelka została nabyta za jej pieniądze — ciągnął Marmieladow, zwracając się wyłącznie do Raskolnikowa. — Dała mi trzydzieści kopiejek własną rączką, ostatnie, wszystko co miała, sam widziałem... Nie powiedziała nic, tylko w milczeniu przyjrzała mi się... To nie na ziemi, ale tam — boleją nad ludźmi w taki sposób, oplakują, a wyrzutów nie robią, nie robią! I tym boleśniej, tym boleśniej, że nie robią wyrzutów!... Trzydzieści kopiejek, tak jest. A przecież i jej samej one teraz potrzebne, nie? Jak pan sądzi, panie mój kochany? Przecie teraz musi dbać o schludność. A schludność, taka, wie pan, specjalna, kosztuje. Rozumie pan? Chociażby te jakieś pomadki, bo i jakże? Halki krochmalone, trzewiczki takie figlarniejsze, żeby można było pokazać nóżkę, kiedy wypadnie przeskakiwać

kałużę. A rozumie pan, rozumie, co znaczy taka schludność? Otóż ja, rodzony ojciec, capnąłem te trzydzieści kopiejek na poprawiny w szynku! I piję! I już przepiłem!... Więc któż pożałuje takiego jak ja? Hę? Czy pan mnie teraz żałuje, czy nie żałuje? Mów pan: żałujesz czy nie? Che-che-che-che!

Chciał sobie dolać, ale nic z tego. Flaszka była próżna.

— A za co ciebie żałować? — krzyknął gospodarz, który znowu znalazł się obok nich.

Rozległ się śmiech i nawet połajanki. Śmiali się i wymyślali zarówno ci, co słyszeli, jak i ci, co nie słyszeli — ot, na sam widok emerytowanego urzędnika.

— Żałować! Za co mnie żałować! — wrzasnął z nagłą Marmieladow, wstając z wyciągniętą ręką, w istnym natchnieniu, jak gdyby tylko czekał na te słowa. — Za co mnie żałować, powiadasz? Racja! Mnie żałować nie ma za co! Ukrzyżować mnie trzeba, do krzyża przybić, a nie żałować! Więc ukrzyżuj, sędzio, ukrzyżuj, lecz ukrzyżowawszy, pożałuj! A wówczas ja sam przyjdę do ciebie, żebyś mię ukrzyżował, albowiem szukam nie wesela, jeno łez i boleści!... Czy ci się zdaje, przekupniu, że ta twoja butelka słodką mi była? Boleści, boleści szukałem na jej dnie, boleści i łez; jakoż znalazłem je, zakosztowałem ich; a pożałuje nas Ten, który ulitował się nad wszystkimi, który wszystkich i wszystko rozumiał, On też jeden jest sędzią. Nastanie dzień i On zapyta: „A gdzie jest córa owa, która macosze złej i suchotniczej, która dziatkom obcym i nieletnim złożyła siebie w ofierze? Gdzie córa owa, która pożałowała rodzica swego ziemskiego, pijanicy nieużytecznego, nie brzydząc się jego zezwierzęceniem?” I powie: „Przyjdź! Już ci raz odpuściłem... Przebaczyłem ci raz... A i teraz odpuszczone ci są twoje mnogie grzechy, albowiem wieleś umiłowała...”. I przebaczy mojej Soni, już wiem, że przebaczy... Odczułem to w sercu moim, gdy u niej był ostatnio... I osądzi wszystkich sprawiedliwie i przebaczy dobrym i złym, wyniosłym i pokornym... A gdy już skończy ze wszystkimi, naonczas przemówi i do nas: „Chodźcie i wy!” — powie. — „Chodźcie, pijaniuteńcy! chodźcie, słabiutcy! Chodźcie, zasromani!”

I my wszyscy przyjdziemy, nie wstydząc się, i staniemy przed Nim. A On powie: „Świnie, jesteście! Na obraz i podobieństwo bestii; ale chodźcie i wy też!”. Wówczas rzekną mądrzy, rzekną roztropni: „Panie! Przecz dopuszczasz tych oto?”. A On powie: „Dlatego ich dopuszczam, o mądrzy, dlatego ich dopuszczam, o roztropni, że z nich żaden nie poczytywał siebie nigdy za godnego tej łaski...”. I wyciągnie ku nam prawicę swoją, a my przypadniemy... i zapłaczymy... i wszystko zrozumiemy! Wtedy zrozumiemy wszystko! I wszyscy zrozumięją... Katarzyna... także zrozumie. Panie, przyjdź królestwo Twoje!

Opadł na ławkę, wycieńczony i osłabły, nie patrząc na nikogo, jakby zapomniał o otoczeniu, i głęboko się zadumał. Jego słowa wywarły pewne wrażenie; na chwilę zaległa cisza, lecz niebawem dały się znowu słyszeć śmiechy i urągania:

— Powiedział, co wiedział!

— Mądrała!

— Urzędnik!

I tak dalej, i tak dalej.

— Chodźmy, panie — rzekł nagle Marmieladow, podnosząc głowę i zwracając się do Raskolnikowa. — Niech pan mnie odprowadzi... Kamienica Kozela, oficyna. Pora... do Katarzyny Iwanowny...

Raskolnikow już dawno miał ochotę wyjść, o tym zaś, żeby mu pomóc, już i sam myślał. Okazało się, że Marmieladow ma nogi daleko słabsze niż język; ciężko się oparł o młodego człowieka. Mieli przejść jakie dwieście, trzysta kroków. Im bliżej domu, tym większy lęk i wstyd ogarniał pijaka.

— Nie, Katarzyny Iwanowny boję się teraz — bąkał przestraszony — ani tego, że mi się wczepi we włosy. Co tam włosy!... Furda włosy! Ja ci to mówię. Nawet lepiej, żeby się wczepiła, i wcale nie tego się boję... Boję się... jej oczu... tak... oczu... Wypieków boję się także... i tego... jej oddechu się boję... Widziałeś, jak się oddycha w tej chorobie... przy wzburzonych uczuciach? I boję się jeszcze płaczu dzieci... Bo, uważasz, jeżeli Sonia ich nie nakarmiła, to... już nie

wiem! Nie wiem! A wytuzowania nie boję się... Wiedz, mój panie, że mi wyżej wspomniane tuzy nie przyczyniają bólu, lecz owszem są mi rozkoszą... Żyć bez tego nie mogę. Tak jest lepiej. Niech mnie pobije, niech sobie ulży... tak jest lepiej... A oto i dom. Kamienica Kozela. Ślusarza, Niemca bogatego... Prowadź!

Weszli od podwórza i jęli się wspinać na czwarte piętro. Im wyżej, tym schody były ciemniejsze. Zbliżała się jedenasta, i chociaż w Petersburgu o tej godzinie jeszcze nie ma prawdziwej nocy, ale u szczytu schodów było zupełnie mroczno.

Na najwyższym piętrze, u wylotu schodów, małe zasmolone drzwiczki stały otworem. Ogarek oświetlał najnędniejszy w świecie pokój, jakie dziesięć kroków długi i w całości widoczny z sieni. Wszystko tu było porozrzucane w nieładzie, zwłaszcza różne dziecięce gałganki. Kąt w głębi zawieszono dziurawym prześcieradłem, za którym prawdopodobnie mieściło się łóżko. W samym zaś pokoju były tylko dwa krzesła i ceratowa, mocno obszarpana kanapa, przed którą stał stary stół kuchenny z surowej sośniny, niczym nie przykryty. Na brzeżku stołu dopalał się ogarek łojówki w blaszanym lichtarzu. Okazało się, że rodzina Marmieladowa mieszka w osobnym pokoju, a nie kątem, lecz pokój ich był przechodni. Drzwi do dalszych pomieszczeń czy klitek, z których się składało mieszkanie Amalii Lippewechsel, były uchylone. Panował tam hałas i rwetes. Ktoś śmiał się głośno. Widocznie grano w karty i pito herbatę. Niekiedy dolatywały wyrazy zgola nieparlamentarne.

Raskolnikow od razu poznał Katarzynę Iwanownę. Była to straszliwie wychudzona kobieta, gibka, dosyć wysoka i zgrabna, ze ślicznymi jeszcze, ciemnoblond włosami i, w rzeczy samej, z ceglastymi wypiekami na twarzy. Chodziła tam i sam po swym niewielkim pokoju, skuliwszy ręce na piersi, z zaciśniętymi spieczonymi wargami; oddychała nierówno, urywanie. Oczy jej błyszczały jak w gorączce, ale spojrzenie było ostre i nieruchome; przykre wrażenie sprawiała ta suchotnicza, wzburzona twarz, po której pełgały ostatnie odbłaski dogorywającej łojówki. Raskolnikow uznał, że ma ze trzydzieści lat

i że istotnie nie stanowi dobranej pary z Marmieladowem... Wchodzących nie słyszała i nie zauważyła; rzekłbyś, że jest otumaniona, nic nie widzi, nic nie słyszy. W izbie było duszno, lecz okna nie otworzyła; ze schodów bił zaduch, jednak drzwi na schody były uchylone; z wewnętrznych pokoi, przez niedomknięte drzwi, napływały fale dymu tytoniowego, Marmieladowa kaszłała, ale drzwi nie zamknęła. Najmłodsza dziewczynka, sześciolatka może, spała na podłodze, przykucnąwszy, z głową wetkniętą w róg kanapy. O rok starszy od niej chłopak drżał w kącie jak liść i płakał. Widocznie dostał tylko co w skórę. Starsza dziewczynka, mająca jakie dziewięć lat, wysoka i cieniutka jak zapalka, stała w kącie, objąłszy małego braciszka za szyję długim, wyschniętym jak szczapa ramieniem. Miała na sobie tylko lichutką i w wielu miejscach dziurawą koszulinę, a na gołych ramionach narzucony wyświechtany płaszczyk dradedamowy, który zapewne sprawiono jej dwa lata temu, bo teraz nie sięgał nawet do kolan. Starła się utulić brata, coś mu szeptała do ucha, pocieszała, jak mogła, żeby czasem nie zachlipał znowu, a równocześnie ze strachem wodziła za matką ogromnymi ciemnymi oczami, które zdawały się jeszcze większe w jej chudej i przerażonej twarzyczce.

Marmieladow, nie wchodząc do pokoju, uklęknął tuż na progu, a Raskolnikowa popchnął naprzód. Na widok nieznanego kobiecie z roztargnieniem zatrzymała się przed nim, ocknąwszy się na мгienie i jak gdyby zastanawiając się, po co tu wszedł? Ale snadź pomyślała sobie zaraz, że gość idzie do dalszych izb, bo ta była przechodnia. Zmiarkowawszy to i już nie zwracając na niego uwagi, podeszła do drzwi od sieni, żeby je domknąć — i nagle krzyknęła, ujrawszy na progu klęczącego męża.

— A! — wrzasnęła w zapamiętaniu. — Wróciłeś! Kajdaniarzu! Wyrzutku!... A gdzie pieniądze? Co masz w kieszeni, pokaż! I garnitur nie ten! Gdzie twój garnitur? Gdzie pieniądze? Gadaj!

I rzuciła się na niego, chcąc go zrewidować. Marmieladow natychmiast rozłożył ręce potulnie i kornie, żeby jej ułatwić przetrząśnięcie kieszeni. Nie znalazła ani kopiejki.

— Gdzie są pieniądze? — krzyczała. — O Boże, czyżby wszystko przepił! Przecie w kuferku było jeszcze dwanaście rubli!... — I raptem, z wściekłością, chwyciła go za włosy i powlokła do pokoju. Marmieladow sam ułatwiał jej te wysiłki, ulegle czołgając się za nią na klęczkach.

— I to mi jest rozkoszą! I to mi jest nie bólem, lecz roz-ko-szą, sza-now-ny pa-nie! — pokrzykiwał, szarpany za włosy, a nawet raz wyrznawszy łbem o podłogę. Śpiące na podłodze dziecko obudziło się i zapłakało. Chłopczyk w kącie nie wytrzymał, zadygotał, krzyknął i rzucił się ku siostrze w okropnym przestachu, nieomal w ataku. Starsza dziewczynka drżała jak liść.

— Przepił! Wszystko, wszystko przepił! — rozpaczliwie łkała nieszczęśliwa kobieta. — I ubranie na nim inne! Głodni, głodni! — i zalamując ręce, wskazywała na dzieci. — O, po trzykroć przekłete życie! A pan, pan wstydu nie ma — cisnęła się nagle na Raskolnikowa. — Z szynku! Tyś także z nim pił? Piłeś z nim także! Precz mi stąd!

Młodzieniec pokwapił się wyjść, nie mówiąc ani słowa. Zwłaszcza że otworzyły się wewnętrzne drzwi, spoza których zajrzało kilku ciekawych. Wyciągnęły się oblesnie roześmiane gęby, z papierosami, z fajkami, w myckach na głowie. Jakieś postacie w rozchełstanych szlafrokach, sprośnie roznegliżowane, niektóre z kartami w ręku. Z największym ubawieniem śmieli się wtedy, gdy Marmieladow, wleczony za włosy, krzyczał, że mu to sprawia rozkosz. Ba, zaczęli wchodzić do pokoju. W końcu rozległ się złowrogi jazgot: to nadciągała sama Amalia Lippewechsel, ażeby po swojemu dokonać rozprawy i po raz setny nastraszyć nieszczęsną kobietę okraszonym przekleństwami rozkazem, żeby się zaraz nazajutrz stąd wynosili. Na odchodnym Raskolnikow zdążył wygrzebać z kieszeni ileś tam miedziaków, które dostał w szynku jako resztę z rubla, i niepostrzeżenie położyć je na oknie. Potem, już na schodach, pomiarkował się i chciał wrócić.

„Co za głupie fanaberie wyczyniam” — skarcił siebie. — „Przecie oni mają tę swoją Sonię, a ja muszę sam o sobie myśleć”. Lecz wziąwszy na rozum, że tych pieniędzy wycofać już niesposób i że tak czy

owak nie zrobiłby tego, machnął ręką i ruszył do siebie. „Przecie Sonia musi sobie kupić pomadki!” — ciągnął dalej, krocząc ulicą i zjadliwie się uśmiechając. — „Taka schludność kosztuje... Hm! Zresztą kto wie, może i sama Sonieczka dzisiaj cienko przedzie, boć to zawsze na dwoje babka wróżyła, rzecz przypadku... niby łowy na grubszego zwierza... albo szukanie ukrytych skarbów... A w takim razie bez tych moich pieniędzy osiedliby jutro na lodzie... Górą Sonia! Potrafili sobie stworzyć źródło dochodów! I korzystają! Bo przecie korzystają! Przyzwyczaili się. Najpierw popłakali, później przywykli. Człowiek jest podły, do wszystkiego przywyka!”.

Zamyślił się.

— A jeżeli żelgał? — zawołał nagle mimo woli. — Jeżeli w rzeczywistości człowiek nie jest podły... człowiek w znaczeniu ogólnym, w znaczeniu całego rodzaju ludzkiego... w takim razie cała reszta — to zabobony, wymyślone strachy, i nie istnieją żadne nieprzekraczalne granice, i nie powinny istnieć!...

III

Nazajutrz obudził się późno, po niespokojnym śnie, który go nie pokrzepił. Obudził się w nastroju żółciowym, rozdrażniony, zły, i z nienawiścią spojrzał na swoją ciupkę. Była to maluteńka klitka, jakie sześć kroków długa, żałośnie wyglądająca ze swoją żółtawą, zakurzoną, poodlepianą tapetą, a tak niska, że człowiek choć trochę słuszniejszy czuł się tu nieswojo, co chwila czekając, że zawadzi głową o sufit. Umeblowanie było odpowiednie: trzy stare, koślawe krzesła, zabójcowany stół, na którym leżało kilka zeszytów i książek — gruba warstwa kurzu świadczyła, że od dawna nie dotykała ich niczyja ręka — wreszcie pokraczna, duża sofa, zajmująca bez mała całą ścianę i połowę szerokości izdebki, niegdyś obita kretonem, teraz obdarta i zastępująca Raskolnikowowi łóżko. Często sypiał na niej w ubraniu, bez prześcieradła, okrywając się starym, zniszczonym płaszczem studenckim, z głową na jednej małej poduszeczce, pod którą wtykał wszystką swoją bieliznę, czystą jak i brudną, aby mieć wyższe wezgłowie. Przed sofą stał stoliczek.

Trudno było o większe zaniedbanie i niechlujstwo; lecz Raskolnikowowi, w jego obecnym usposobieniu, to nawet dogadzało. Odgrodził się od całego świata, schował się jak żółw w skorupie, tak że nawet twarz służącej, której obowiązkiem było mu posługiwać i która czasem zaglądała do jego pokoju, przyprawiała go o napady złości i konwulsje. Tak bywa z monomanami, gdy się nadmiernie skupią na jednym przedmiocie. Gospodyni już od dwóch tygodni przestała mu przysyłać jedzenie, a jemu do głowy nie przyszło, żeby się z nią roz-

mówić na ten temat, choć siedział bez obiadu. Anastazja — kucharka i jedyna służąca gospodyni — po części była rada z takiego nastroju lokatora i zupełnie zaniechała sprzątanía i zamiatanía, ot, chyba tak sobie, raz na tydzień, od niechcenia przejechała miotłą.

To właśnie ona obudziła go teraz.

— Wstawaj, dosyć tego spania! — wrzasnęła mu nad uchem. — Już dziesiąta. Przyniosłam ci herbaty, chcesz? Pewnikiem czczo ci jest?

Lokator otworzył oczy, drgnął i poznał Anastazję.

— To gospodyni przysyła herbatę? Czy co? — zapytał, powoli i z wyrazem cierpienia unosząc się na sofie.

— Jaka tam gospodyni!

Postawiła przed nim własny nadpęknięty imbryk z cienką herbatą i położyła dwie żółtawe kostki cukru.

— Masz, Anastazjo, weź, proszę cię — rzekł, szukając w kieszeni (spół bowiem w ubraniu) i wyciągając parę miedziaków — idź i kup mi bułkę. A u masarza weź choć kilka plasterków kiełbasy, tej tańszej.

— Bułkę przyniosę ci zarazem, a co do kiełbasy, to może być wolał barszczu? Dobry barszcz, wczorajszy. Wczoraj zostawiłam dla ciebie, aleś późno wrócił. Dobry barszcz.

Gdy mu przyniosła barszcz i gdy się doń zabrał, Anastazja usiadła obok na krześle i zaczęła paplać. Była to baba wiejska i bardzo gadatliwa.

— Nasza pani chce ciebie zaskarżyć do policji — powiedziałaś.

Skrzywił się.

— Do policji? O cóż jej chodzi?

— Nie płacisz komornego, z mieszkania się nie wyprowadzasz. Wiadomo, o co jej chodzi.

— Tylko tego brakowało — warknął, zgrzytając zębami. — Nie teraz mi to... nie na rękę... Głupia jest! — dorzucił głośno. — Wstąpię dzisiaj do niej, rozmówię się.

— Głupia bo głupia, tak samo jak ja; ale tyś mądrała, a leżysz jak tłumok, po próżnicy. Mówiłeś, żeś przedtem chodził uczyć dzieci; czemu teraz nic nie robisz?

— Robię... — odpowiedział Raskolnikow niechętnie i surowo.

— Co robisz?

— Pracuję...

— Co to za praca?

— Myślę — odparł poważnie po chwili milczenia.

Anastazja aż się zatoczyła ze śmiechu. Była śmieszka i gdy ją co ubawiło, zaczynała się śmiać bezgłośnie, trzęsąc się całym ciałem, aż ją samą zamroczyło.

— I dużoś uciulał pieniędzy tym myśleniem? — wykrztusiła wreszcie.

— Bez butów nie można iść na korepetycje. Zresztą gwizdź na to.

— Gwizdaniem się nie najesz.

— Za korepetycje płacą grosze. Wielka mi pociecha z tych kilku kopiejek! — ciągnął niechętnie, jakby odpowiadając na własne myśli.

— A ty byś od razu chciał cały majątek?

Popatrzał na nią dziwnie.

— Tak, cały majątek — rzekł z mocą po chwili milczenia.

— Oj, wolnego, wolnego, bo mi napędzisz strachu, że ha! — za-drwiła. — Więc jakże? Mam iść po bułkę?

— Jak chcesz.

— Aha, byłabym zapomniała! Wczoraj, jak cię nie było, przyniesiono list do ciebie.

— List! Do mnie! Od kogo?

— Tego nie wiem. Trzy kopiejki dałam listonoszowi z własnej kieszeni. Chyba zwrócisz mi, co?

— Dawaj że, na miłość boską! — zawołał Raskolnikow, mocno przejęty. — O Jezu!

Po chwili przyniosła list. A jakże! Od matki, z guberni r-skiej. Aż pobladł, biorąc go. Dawno nie otrzymywał listów; lecz teraz z innego jeszcze powodu ścisnęło mu się serce.

— Anastazjo, zlituj się, idź sobie; masz tutaj swoje trzy kopiejki, tylko, na miły Bóg, idź sobie czym prędzej!

List drżał mu w ręku. Nie chciał rozrywać koperty przy niej: pragnął pozostać z tym listem sam na sam. Po wyjściu Anastazji szybko podniósł go do ust i ucałował; następnie długo się wpatrywał w litery adresu, w znajome i tak mu miłe, drobne i skośne pismo matki, która go kiedyś uczyła czytać i pisać. Zwlekał, nawet jakby się czegoś bał. Nareszcie rozdarł kopertę: list był długi, gruby, ważył dwa łuty; dwa duże arkusze listowego papieru były zapisane gęsto i drobno.

„Mój drogi Rodia — pisała matka — oto już przeszło dwa miesiące, jak nie gawędziłam z Tobą listownie, co i mnie samą przyprawiało o cierpienie, tak że czasem myśli całą noc nie dawały mi oka zmrzyć. Ale Ty na pewno nie masz mi za złe tego mimowolnego milczenia. Wiesz, jak Cię kocham; ja i Dunia mamy tylko Ciebie; Tyś nasze wszystko, nasza jedyna nadzieja i otucha. Co się ze mną działo, gdyś mi napisał, że przed kilkoma miesiącami porzuciłeś uniwersytet, nie mając z czego żyć, że się skończyły korepetycje i inne źródła dochodu! Cóż mogłam zrobić dla Ciebie ze swoimi stu dwudziestoma rublami rocznej emerytury? Te piętnaście rubli, które Ci posłałam cztery miesiące temu, pożyczyłam, jak Ci wiadomo, na rachunek tejże emerytury, od tutejszego naszego kupca, Wasilia Wachruszyna. Dobry to człowiek, przyjaźnił się jeszcze z Twoim ojcem. Ale ponieważ upoważniłam go do podjęcia emerytury w moim imieniu, więc musiałam czekać, aż się dług wyrówna, a to stało się dopiero teraz, tak że przez cały ten czas nie mogłam Ci nic posłać. Lecz teraz, Bogu dzięki, zdaje się, będę mogła znów Ci przysłać, i w ogóle możemy się pochwalić, że się nam poszczęściło, o czym też śpieszę Ci donieść. Po pierwsze, czybyś się domyślił, drogi mój Rodia, że Twoja siostra już od sześciu tygodni mieszka tu ze mną i na przyszłość już się nie rozstaniemy. Chwała Bogu Najwyższemu, skończyły się jej udręki, ale opowiem Ci wszystko kolejno, żebyś wiedział, jak to było i cośmy dotychczas ukrywały przed Tobą. Gdyś mi pisał dwa miesiące temu, że słyszałeś od kogoś, że podobno Dunia znosi wiele przykrości wskutek ordynarnego obęścia w domu państwa Świdrygajłowów, i gdy żądałeś ode mnie szczegółów — cóż miałam Ci odpowiedzieć? Gdybym napisała szczerą

prawdę, to byś, kto wie, rzucił wszystko i przyszedł do nas bodaj piechotą, bo przecież znam Twój charakter i serce, że nie pozwoliłbyś krzywdzić siostry. Byłam w rozpacz, ale cóż miałam począć? Zresztą i sama nie znałam wszystkiej prawdy. Najfatalniejsze to, że Dunieczka, godząc się do nich w zeszłym roku za guwernantkę, z góry pobrała aż sto rubli, które miano potrącać jej co miesiąc z pensji, więc przecie nie mogła porzucić posady, nie uściwszy tego długu. Tę zaś kwotę (teraz mogę Ci wszystko wytłumaczyć, ukochany mój Rodia) wzięła głównie dlatego, żeby móc posłać Ci sześćdziesiąt rubli, których tak pilnie potrzebowałaś i które też dostałaś od nas zeszłego roku. Myśmy Cię wówczas oszukały, napisałyśmy, że to poprzednio przez Dunieczkę poczynione oszczędności, ale tak nie było, a teraz donoszę Ci całą prawdę, gdyż Pan Bóg wszystko teraz zmienił na lepsze, i żebyś wiedział, jak Ciebie Dunia kocha i jakie ma złote serce. Rzeczywiście, pan Swidrygajłow z początku traktował ją bardzo ordynarnie, pozwalał sobie na różne niegrzeczności i kpinki przy stole... Ale nie chcę się wdawać w te wszystkie przykre detale, żeby Cię nie irytować bez potrzeby, kiedy już wszystko się ułożyło. Krótko mówiąc, mimo że Marfa Pietrowna, małżonka pana Swidrygajłowa, i wszyscy domownicy traktowali Dunię bardzo dobrze i szlachetnie, Duni było nader ciężko, szczególnie kiedy pan Swidrygajłow, wedle dawnego pułkowego przyzwyczajenia, znajdował się pod wpływem Bachusa. Ale cóż się później okazało? Wystaw sobie, że ten szalona pała już dawno zapłonął afektem do Duni, lecz ukrywał to pod pozorami gburowatości i lekceważenia. Może i sam się wstydził i przerażał, że on, człowiek w latach i ojciec dzieciom, żywi takie płochy nadzieje, i właśnie dlatego mimo woli złościł się na Dunię. Ale i to możliwe, że chciał swoim grubiaństwem i drwinami zasłonić przed wszystkimi istotną prawdę. Lecz w końcu nie wytrzymał i poważyl się zrobić Duni niedwuznaczną a haniebną propozycję, obiecując jej złote góry i że ponadto przeniesie się z nią do innej wsi albo i za granicę. Wyobrażasz sobie jej cierpienia! Z miejsca rzucić posady nie mogła, nie tylko z racji długu pieniężnego, ale również przez wzgląd na Marfę Pietrownę, która by mogła

powziąć podejrzenia, co by popsuło ich pożycie. Zresztą nie obeszloby się bez wielkiego skandalu i dla Duni. Było tutaj dużo różnych powodów, tak że przed upływem sześciu tygodni Dunia w żaden sposób nie mogła liczyć na wyrwanie się z tego okropnego domu. Naturalnie, znasz Dunie, wiesz, jaka ona mądra i jaki ma silny charakter. Dunieczka potrafi wiele znieść i w najtrudniejszych nawet okolicznościach zdobyć się na tyle męstwa, żeby nie stracić hartu ducha. Nic mi o tym nie doniosła, nie chcąc mnie martwić, a przecie myśmy często pisywały do siebie. Rozwiązanie zaś tej historii przyszło niespodzianie. Marfa Pietrowna niechcący podsłuchiwała, jak jej mąż molestuje Dunieczkę w ogrodzie, zrozumiała wszystko na opak, zwała wszystko na nią, sądząc, że to ona nawarzyła tego piwa. Tu w ogrodzie wynikła okropna awantura: Marfa Pietrowna nawet uderzyła Dunie, nie chciała nic słuchać, chociaż sama wrzeszczała całą godzinę, i wreszcie kazała natychmiast odwieźć Dunie do mnie do miasta zwykłym wozem drabiniastym, na który rzucono wszystkie jej rzeczy, bieliznę, sukienki, jak popadło, nie związane i nie spakowane. Na domiar lunął ulewny deszcz i Dunia, zelziona i okryta hańbą, musiała jechać z chłopem aż siedemnaście wiorst furką bez budy. Powiedz sam, cóż mogłam Ci napisać w odpowiedzi na Twój list — otrzymany dwa miesiące temu — o czym pisać? Byłam w rozpacz; napisać Ci prawdy nie miałam odwagi, bo Ty byś był bardzo nieszczęśliwy, struty i oburzony, a cóż byś mógł poradzić? Jeszcze byś, broń Boże, zrobił sobie co złego, a i Dunieczka mi zakazała; wypełniać zaś listu bagatelami i byle czym, kiedy w sercu taki żal — nie mogłam. Przez cały miesiąc u nas tutaj krążyły po mieście plotki o tej historii i doszło do tego, żeśmy obie z Dunia nie mogły się pokazać w cerkwi ze względu na pogardliwe spojrzenia i szept, a nawet głośno w naszej obecności były różne powiedzenia. Wszyscy znajomi odżegnali się od nas, wszyscy przestali się kłaniać i miałam zupełnie pewną wiadomość, że subiekci sklepowi i niektórzy kanceliści zamierzają wyrządzić nam nikczemną obelgę, smarując dziegiem wrota naszego domu, tak że gospodarz zażądał, byśmy się wyprowadziły. Wszystko to zawdzięczałyśmy Marfie Pie-

trownie, która zdążyła zaszargać i błotem obrzucić Dunię we wszystkich domach. Ona tutaj zna wszyscyuteńkich i tamtego miesiąca przyjeżdżała raz po raz do miasta, a że jest cokolwiek gadatliwa i lubi rozpowiadać o swoich sprawach domowych, a zwłaszcza skarżyć się na męża wszem wobec i każdemu z osobna, co jest bardzo nieładne, więc też rozniosła całą historię w krótkim czasie, nie tylko w mieście, lecz i po całym powiecie. Rozchorowałam się, ale Dunieczka miała więcej hartu niż ja i szkoda, żeś nie widział, jak ona wszystko znosiła i jeszcze mnie pocieszała, dodawała otuchy! Prawdziwy anioł! Lecz Bóg miłosierny ulitował się i położył kres naszym strapieniom: pan Swidrygajłow upamiętał się, poczuł skruchę, widocznie zrobiło mu się żal Duni i przedstawił żonie całkowity i oczywisty dowód, że Dunia Bogu ducha winna, a mianowicie: list, który Dunia, zanim jeszcze Marfa Pietrowna zaszła ich w ogrodzie, była zmuszona napisać i przesłać mu, ażeby uchylić osobiste rozmowy i potajemne schadzki, których się napierał, a który to list po wyjeździe Dunieczki pozostał w ręku pana Swidrygajłowa. W tym liście wyrzucała mu jak najgoręcej i z wielkim oburzeniem właśnie jego nieszlachetny stosunek do Marfy Pietrowny, kładąc mu przed oczy, że przecie jest ojcem i małżonkiem, i wreszcie, że jaka to podłość z jego strony — nękać i unieszczęśliwiać dziewczynę, już i tak nieszczęśliwą i bezbronną. Słowem, kochany mój Rodia, list ten jest napisany tak szlachetnie i wzruszająco, że się spłakała przy czytaniu, a i dotychczas nie mogę go czytać bez łez. Ponadto na usprawiedliwienie Duni złożyły się zeznania służby, która, jak to zwykle bywa, widziała i wiedziała daleko więcej, niż sobie wyobrażał sam Świdrygajłow. Marfa Pietrowna «była piorunem rażona», jak sama nam wyznała, ale za to upewniła się zupełnie o niewinności Dunieczki i zaraz nazajutrz, w niedzielę, przyjechała wprost do soboru, gdzie na klęczkach i ze łzami w oczach błagała Najświętszą Pannę o siły do zniesienia tego nowego dopustu i do spełnienia obowiązku. Potem prosto z soboru, do nikogo nie wstępując, przyjechała do nas, opowiedziała nam wszystko, płakała gorzko i z wielką skruchą brała Dunię w objęcia, prosząc o przebaczenie. Tegoż poranku, bez żadnej

zwłoki, prosto od nas udała się do wszystkich domów w mieście i wszędzie w słowach dla Dunieczki najpochlebniejszych, wylewając łzy, stwierdzała jej niewinność, szlachetność jej serca i postępowania. Nie dość tego: pokazywała wszystkim i głośno odczytywała własnoręczny list Dunieczki do Swidrygajłowa, a nawet kazała porobić odpisy (co już uważam za przesadę). Tak więc była zmuszona kilka dni z rzędu objeżdżać wszystkich w mieście, bo niektórzy czuli się dotknięci, że dała innym pierwszeństwo, i w ten sposób powstała cała kolejka, tak że w każdym domu już z góry wiadano, iż takiego to dnia Marfa Pietrowna będzie tam odczytywała ten list, i na każde czytanie zbierali się nawet ci, co ten list już kilka razy słyszeli i u siebie, i u znajomych, kolejno. Ja uważam, że bynajmniej, bynajmniej nie wszystko to było potrzebne, ale taka już jest Marfa Pietrowna. No, ale przynajmniej w pełni zwróciła Dunieczce honor, a cała szkarada tej sprawy legła niezatartym piętnem hańby na jej mężu, jako głównym winowajcy, tak że nawet mi go szkoda: aż za surowo postąpiono z tym postrzeleńcem. Duni zaraz zaczęło proponować lekcje w niektórych domach, ale odmówiła. W ogóle zaczęło ją naraz traktować ze szczególnym szacunkiem. To wszystko w znacznym stopniu przyczyniło się do tego nieoczekiwanego zdarzenia, które teraz, że tak powiem, zmienia cały nasz los. Dowiedz się, drogi mój Rodia, że o Dunię zaczął się starać kawaler i że już nawet są po słowie, o czym też śpieszę zakomunikować Ci co rychlej. I chociaż to się zdecydowało bez poradzenia się Ciebie, jednak przypuszczam, że nie będziesz miał żalu ani do mnie, ani do siostry, bo zaraz się przekonasz, żeśmy żadnym sposobem nie mogły czekać i odkładać aż do otrzymania odpowiedzi od Ciebie. Zresztą i Ty byś nie zdołał z daleka wszystkiego szczegółowo rozważyć. Więc słuchaj, jak to było. On już jest radcą dworu — Piotr Pietrowicz Łużyn, daleki krewny Marfy Pietrowny, która niemało przyczyniła się do tej rzeczy. Zaczął od tego, że poprzez nią wyraził życzenie zabrania z nami znajomości; myśmy go przyjęły jak należy, poczęstowałyśmy go kawą, a już nazajutrz nadesłał list, w którym bardzo grzecznie się oświadczył i prosił o szybką i stanowczą odpowiedź.

Człowiek to poważny, ma wiele zajęć i pilno mu teraz do Petersburga, tak że każda chwila jest mu droga. Ma się rozumieć, byliśmy zrazu zupełnie oszołomione, ponieważ to wszystko stało się bardzo nagle i niespodzianie. Naradzałyśmy się obydwie i namyslały przez cały dzień. Człowiek to budzący zaufanie, majątny, ma dwie posady i już odłożył spory grosz. Co prawda ma już czterdzieści pięć lat, ale jest dosyć miłej powierzchowności i jeszcze może się podobać kobietom, i w ogóle człowiek to bardzo solidny, przyzwoity, tylko że troszeczkę posepny i jak gdyby wyniosły. Ale może to tylko tak się wydaje na pierwszy rzut oka. Uprzedzam cię, kochany Rodia, kiedy się z nim zobaczysz w Petersburgu, co stanie się bardzo niedługo, nie sądź go zbyt pochopnie, jak to masz w zwyczaju, o ile przy pierwszym spotkaniu coś Ci się w nim niezupełnie spodoba. Mówię to na wszelki wypadek, choć jestem pewna, że wywrze na Tobie wrażenie dodatnie. Bo też w ogóle, chcąc kogoś poznać należycie, trzeba zbliżać się do niego stopniowo i ostrożnie, żeby nie wpaść w pomyłkę i uprzedzenie, które później bardzo trudno naprawić i zatrzeć. A Piotr Pietrowicz — przynajmniej z wielu oznak sądząc — zupełnie zasługuje na szacunek. Zaraz za pierwszą bytnością oświadczył nam, że jest człowiekiem pozytywnym, lecz pod niejednym względem podziela, jak sam się wyraził, «zapatrywania naszej nowej generacji» i jest wrogiem wszelkich przesądów. Dużo mówił też innych rzeczy, gdyż jest jak gdyby cokolwiek próżny i bardzo lubi, żeby go słuchano, ale to przecie nieznaczną przywarą, prawda? Ja, oczywiście, mało co rozumiem, lecz Dunia mi wytłumaczyła, że człowiek to chociaż bez wielkiego wykształcenia, ale rozumny i, zdaje się, dobry. Znasz usposobienie siostry, Rodia. To dziewczyna rozsądna, dla siebie surowa, dziewczyna cierpliwa i wielkoduszna, choć serca zapalczego, które tak dobrze poznałam. Ma się rozumieć, ani z jej, ani z jego strony szczególniejszej miłości tu nie ma, lecz Dunia jest nie tylko dziewczyną mądrą, ale także istotą szlachetną jak anioł i ma sobie za powinność zapewnić szczęście mężowi, który by ze swej strony dbał o jej szczęście, o tym zaś wątpić nie mamy na razie większych powodów, chociaż, co tu gadać, trochę za

prędko to poszło. Na dobitkę, człowiek to bardzo roztropny i, naturalnie, sam pozna, że jego własne szczęście małżeńskie będzie tym pewniejsze, im lepiej będzie z nim Dunieczce. A że tam jakieś drobne usterki charakteru, jakieś zadawnione nawyki czy nawet pewna rozbieżność poglądów (czego przecież i w najbardziej dobranych stadłach nie da się uniknąć), to na ten temat Dunieczka powiedziała mi sama, że polega na sobie; że nie ma się o co frasować i że ona potrafi dużo znieść, pod warunkiem, żeby przyszłe pożycie było uczciwe i prawe. Na przykład on mi się z początku wydał jakby trochę szorstki; ale to wszak może pochodzić właśnie stąd, że jest człowiekiem prostolinijnym; tak, na pewno stąd. Na przykład za drugą wizytą, już mając jej zgodę, wyraził się w trakcie rozmowy, że już dawniej, przed poznaniem Duni, postanowił sobie poślubić pannę uczciwą, ale bez posagu, i tylko taką, która zakosztowała biedy; bo, jego zdaniem, mąż nie powinien nic zawdzięczać żonie i daleko jest lepiej, jeżeli żona uważa męża za swego dobroczyńcę. Dodam, że on to wysłowił nieco miękce i łagodniej, niż ja napisałam, bo dokładne jego zwroty wyleciały mi z głowy, zapamiętałam tylko sens, a przy tym powiedział to wcale nie z rozmysłu — widocznie wyrwało mu się w zapale konwersacji, tak że później starał się nawet sprostować i złagodzić, i tak czy owak, mnie się to wydało jakby trochę szorstkim i później mówiłam o tym Duni. Lecz ona z niezadowoleniem odpowiedziała, że «co innego słowa, co innego czyny» — i, naturalnie, miała świętą rację. Przed powzięciem decyzji Dunieczka nie spała całą noc i sądząc, że ja już śpię, wstała z łóżka i całą noc chodziła po pokoju; wreszcie uklękła, długo i gorąco modliła się przed obrazem, a nazajutrz rano oświadczyła mi, że się zdecydowała.

Wspomniałam Ci już, że Piotr Pietrowicz udaje się do Petersburga. Ma tam duże interesy, chce otworzyć w Petersburgu publiczną poradnię adwokacką. Od dawna chodzi koło różnych pozwów i podań i właśnie ostatnio wygrał jeden znaczniejszy proces. Do Petersburga musi teraz koniecznie pojechać i dlatego, że ma w senacie jedną poważną sprawę. Tak więc, drogi mój Rodia, on i Tobie może być wielce

potoczny w niejednym, a właściwie we wszystkim, i myśmy obie z Dunią umyśliły sobie, że już z dniem dzisiejszym mógłbyś rozpocząć na dobre swoją przyszłą karierę i uważać dalsze swoje losy za wyraźnie wytknięte. Och, gdybyż to się ziściło! Byłoby to takie wspaniałe, że trzeba by to uznać za szczególniejszą nad nami opiekę Opatrzności. Dunia o niczym innym nie marzy. Wzięłyśmy na odwagę i już powiedziałyśmy Piotrowi Pietrowiczowi kilka słów w tej mierze. Odpowiedział oględnie, zaznaczając, że ponieważ, naturalnie, on sobie nie da rady bez sekretarza, więc, ma się rozumieć, lepiej jest płacić pensję nie obcemu, tylko krewniakowi, o ile ten okaże zdolności (Ty byś miał nie okazać zdolności!), lecz od razu zastrzegł się, że ma obawy, czy studia uniwersyteckie zostawią Ci dosyć czasu na pracę w jego biurze. Na tym się na razie skończyło, ale Dunia obecnie o niczym innym nie myśli. Teraz, od kilku dni, jest jak w gorączce i ułożyła sobie cały plan, że w przyszłości możesz zostać współpracownikiem, a nawet współnikiem Piotra Pietrowicza w jego sprawach sądowych, tym bardziej że jesteś na wydziale prawniczym. Ja zaś, Rodia, całkiem się z nią zgadzam i podzielałam wszystkie jej plany i nadzieje, które wydają mi się zupełnie realne; bez względu więc na obecną, całkiem zrozumiałą powściągliwość Piotra Pietrowicza (gdyż on Ciebie jeszcze nie zna) Dunia jest przekonana, że dopnie wszystkiego przez swój dobry wpływ na przyszłego męża, i jest tego pewna. Ma się rozumieć, aniśmy napomknęły Piotrowi Pietrowiczowi o tych dalszych naszych marzeniach, a szczególnie o tym, że będziesz jego współnikiem. Jest człowiekiem pozytywnym, więc mógłby to przyjąć bardzo obojętnie, ponieważ wszystko wydałoby mu się czczym rojeniem. Podobnie, obie z Dunią nie puściłyśmy pary z ust o naszej niezłomnej nadziei, że on nam pomoże zasilać Cię pieniężnie, dopóki jesteś na uniwersytecie. Nie wspomniałyśmy o tym dlatego, że, po pierwsze, to się zrobi samo przez się w przyszłości, i Piotr Pietrowicz na pewno bez próżnego gadania sam to zaproponuje (tego by tylko brakowało, żeby odmówił Dunieczce!), zwłaszcza że możesz się stać jego prawą ręką w kancelarii i otrzymać od niego tę zapomogę nie jako dobrodziejstwo, ale jako

należne Ci wynagrodzenie. Tak właśnie Dunieczka chce to urządzić, ja się z nią zupełnie zgadzam. Po wtóre, nie wspominałyśmy o tym dlatego, że ogromnie chciałabym postawić Ciebie, przy waszym rychłym spotkaniu, na równej z nim stopie. Gdy mu Dunia mówiła o Tobie z entuzjazmem, odrzekł, że każdego człowieka trzeba nasamprzód obejrzeć samemu jak najskrupulatniej, żeby móc o nim sądzić, i że zamierza, poznawszy Ciebie, urobić sobie własny sąd. Wiesz co, mój złocisty? Mnie się zdaje z różnych względów (które zresztą bynajmniej nie dotyczą Piotra Pietrowicza, lecz ot tak sobie, dla różnych moich własnych, osobistych, może nawet staruszkowskich, babskich kaprysów) — mnie się zdaje, że może lepiej zrobię, jeżeli po ich pobraniu się zamieszkam osobno, tak jak teraz, a nie razem z nimi. Jestem przeświadczona, że będzie o tyle szlachetny i delikatny, iż sam mnie zaprosi i zaproponuje, bym się już nie rozstawiała z córką, a jeżeli dotychczas nie mówił o tym, to naturalnie dlatego, że to się rozumie bez słów; ale ja odmówię. Już nieraz w życiu widziałam, że teściowe niekoniecznie przypadają zięciom do gustu, ja zaś nie tylko nie chcę być nikomu najmniejszym nawet ciężarem, ale też i dla siebie pragnę zupełnej swobody, dopóki mam własny kawałeczek chleba, no i takie dzieci, jak ty i Dunieczka. Jeżeli to będzie możliwe, zamieszkam w pobliżu obojga — bo, Rodia, rzecz najprzyjemniejszą odłożyłam na sam koniec listu. Otóż dowiedz się, mój najmilszy, że może w bardzo już krótkim czasie spotkamy się i uściskamy wszyscy troje po trzyletniej prawie rozłące! Już postanowiono na pewno, że ja i Dunia jedziemy do Petersburga, kiedy mianowicie — nie wiem, lecz w każdym razie bardzo, bardzo niedługo, może nawet za tydzień. Wszystko zależy od decyzji Piotra Pietrowicza, który natychmiast po rozejrzeniu się w Petersburgu da nam znać. Z pewnych względów chciałby możliwie przyspieszyć ceremonię ślubu i gdyby się udało — wyprawić wesele już teraz w mięsopuście, jeśli zaś to się nie da zrobić wskutek zbyt krótkiego terminu, no to zaraz po Uspieńskim poście. Och, z jakim uszczęśliwieniem przytulę Cię do serca! Dunia nie posiada się z radości na myśl o zobaczeniu Ciebie i kiedyś powiedziała mi żartem, że choćby

dlatego wyszłaby za Piotra Pietrowicza. Twoja siostra to anioł! Dzisiaj nie dopisuje się do tego listu, tylko kazała mi napisać, że ma z Tobą tyle, tyle do pomówienia, iż teraz pióro wypada jej z ręki, bo w kilku linijkach nie powiedzieć nie można, tylko bez potrzeby człowiek się zdenerwuje; kazała uściskać Cię mocno i przesłać Ci od niej sto tysięcy pocałunków. Lecz chociaż może bardzo już niedługo zobaczymy się osobiście, ja Ci w najbliższych dniach prześlę, ile tylko będę mogła, pieniędzy. Teraz, kiedy się wszyscy dowiedzieli, że Dunieczka wychodzi za Piotra Pietrowicza, mój kredyt wzrósł raptownie i nie wątpię, że teraz Afanasij Iwanowicz zgodzi się dać mi na rachunek emerytury do siedemdziesięciu pięciu rubli, tak że, być może, prześlę Ci ze dwadzieścia pięć rubli albo i trzydzieści. Posłałabym i więcej, ale boję się, czy wystarczy na koszty podróży. I chociaż Piotr Pietrowicz był tak pocziwy, że wziął na siebie część wydatków związanych z naszą jazdą do stolicy, a mianowicie, sam się ofiarował własnym sumptem przewieźć nasz bagaż i duży kufer (ma jakieś możliwości przez znajomych), lecz i tak musimy coś mieć, bo nie można przyjechać do Petersburga bez grosza, trzeba coś mieć przynajmniej na pierwsze dni. Zresztą myśmy z Dunieczką już wszystko obmyśliły najdokładniej; i wypadło, że podróż wyniesie niewiele. Do stacji kolejowej mamy za ledwie dziewięćdziesiąt wiorst i na wszelki wypadek jużesmy umówiły jednego znajomego chłopka-woźnicę; a dalej sypniemy sobie z Dunieczką trzecią klasą. Toteż może prześlę Ci nie dwadzieścia pięć rubli, tylko trzydzieści — nawet na pewno trzydzieści wysupłam.

Ale basta; dwa arkusze zapisałam szczelnie i już nie ma miejsca; cała nasza historia; ale bo też tyle nagromadziło się wydarzeń! A teraz, mój Ty najzłocistszy, ściskam Cię, do rychłego zobaczenia, i przesyłam Ci swoje macierzyńskie błogosławieństwo. Rodia, kochaj Dunię, siostrę swoją; kochaj tak, jak ona Ciebie kocha, i wiedz, że ona Cię kocha bezgranicznie, więcej niż siebie samą. To anioł, Rodia; Ty zaś — Tyś nasze wszystko, nasza nadzieja i cała otucha. Bądź tylko szczęśliwy, a i my będziemy szczęśliwe. Rodia, czy Ty się po dawnemu modlisz i czy wierzysz w nieskończoną dobroć Stwórcy i Zbawiciela naszego?

Drży moje serce, czy i Tyś się nie zaraził modną dzisiaj niewiarą? Jeżeli tak, to ja się za Ciebie modłę. Przypomnij sobie, kochany, jak w dzieciństwie, jeszcze za życia ojca, szczebiotałeś paciorek na moich kolanach i jacyśmy wtedy byli wszyscy szczęśliwi! Żegnaj, a raczej do-widzenia! Ściskam Cię mocno, mocno i całuję niezliczoną ilość razy.

Twoja do grobu
Pulcheria Raskolnikowa”.

W trakcie całego prawie czytania listu, od pierwszych słów, Raskol-nikow miał twarz mokrą od łez; lecz kiedy skończył, twarz ta była blada, ściągnięta skurczem, a ponury, śledzienniczy, zły uśmiech wy-krzywił mu wargi. Położył się na wznak, z głową na płaskiej, wybru-dzonej poduszce, i myślał, długo myślał. Mocno biło mu serce, mocno kotłowały się jego myśli. Wreszcie zrobiło mu się duszno i ciasno w tej żółtej izdebce, podobnej do szafy czy skrzyni. Wzrok i myśli domaga-ły się otwartej przestrzeni. Porwał kapelusz i wyszedł, tym razem już nie obawiając się żadnego spotkania na schodach: wyleciało mu to z pamięci. Skierował się w stronę Wyspy Wasiliewskiej poprzez Aleję W-ską, jakby śpiesząc tam w pilnej sprawie, lecz swoim zwyczajem szedł, nic nie widząc, szepcząc do siebie, a nawet głośno gadając, czym wielce zadziwiał przechodniów. Wielu brało go za pijanego.

IV

List matki znękał go. Lecz co do najważniejszego, kapitalnego punktu — nie wahał się ani chwili, nawet w trakcie odczytywania listu. Co się tyczy istoty rzeczy, decyzja już w nim zapadła, decyzja nieodwołalna: „Ten ślub nie odbędzie się, dopóki ja żyję, i niech diabli porwą pana Łużyna!”.

„Bo to jest rzecz oczywista” — mruczał w duchu, uśmiechając się i ze złośliwym tryumfem przewidując sukces swego postanowienia. — „Nie, mamó, nie, Duniu, na plewy mnie nie weźmiecie!... A jeszcze przepraszają, że nie zasięgnęły mojej rady i powzięły decyzję beze mnie! Dobrze sobie! Są pewne, że teraz już kłamka zapadła; ano zobaczymy, zapadła czy nie zapadła! I co za przepyszne tłumaczenie: Piotr Pietrowicz ma takie interesy, takie interesy, że nawet ożenić się nie może inaczej, tylko łapu-capu, omal że nie w pociągu. Nie, Dunieczko, ja wszystko widzę i wiem, o czym to masz ze mną tyle, tyle do mówienia; wiem także, o czym myślałaś całą noc, chodząc po pokoju, i o co się modliłaś przed Matką Boską Kazańską, która stoi w maminej sypialni. Bo na Golgotę wstąpić nie łatwo. Hm... A więc postanowiono nieodwołalnie: Awdotia Romanowna wychodzi za wyznawcę racjonalizmu, za człowieka interesów, który ma kapitalik (już ma kapitalik — to brzmi solidniej, bardziej imponująco), który ma dwie posady i który podziela zapatrywania naszej nowej generacji (jak pisze mama), wreszcie który «zdaje się jest dobry», jak to zauważyła sama Dunieczka. To daje się jest najparadniejsze! I taż sama Dunieczka idzie za mąż za owo zdaje się...! Wyborne! Wyborne!

Swoją drogą, jestem ciekaw, po co mi mama napisała o «nowej generacji»? Czy po prostu dla charakterystyki osoby, czy z ukrytym zamiarem zjednania mnie panu Łużynowi? O przebiegłości! Warto by wyjaśnić jeszcze jedną okoliczność: w jakiej mierze one były ze sobą szczere owego dnia i owej nocy oraz w całym okresie następnym? Czy padły między nimi wszystkie słowa, czy też obie zrozumiały, że jedna i druga ma to samo na sercu i na myśli, tak że już nie ma o czym mówić głośno, bo jeszcze człowiek gotów się wygadać. Przypuszczam, że po części tak właśnie było. Z listu to widać: mamie on się wydał szorstki – troszeczkę – więc w naiwności ducha poszła do Duni jak w dym ze swymi spostrzeżeniami. A Dunia, rzecz prosta, rozgniewała się i «odparła z niezadowoleniem»! Ja myślę, każdy by się wściekł, kiedy i bez naiwnych uwag sprawa jest jasna jak dzień i kiedy człowiek postanowił, że nie ma o czym gadać. I dlaczego pisze mi: «Rodia, kochaj Dunię, ona ciebie kocha więcej niż siebie samą»? Czyżby i mamę ruszyło sumienie, że zgodziła się poświęcić córkę dla syna? «Tyś nasza nadzieja, tyś nasze wszystko!» Oj, mamusiu!...

Coraz gwałtowniej wrzał w nim gniew i gdyby w tej chwili spotkał pana Łużyna, gotów byłby go zabić!

„Hm, to prawda” — ciągnął dalej, idąc za biegiem swych myśli, które w dzikim padzie kołowały mu w głowie — „to prawda, że do człowieka «trzeba się zbliżać stopniowo i ostrożnie, by go poznać»; ale pan Łużyn jest aż nadto przejrzysty. Grunt, że to «człowiek interesu i, zdaje się, dobrego». Nie byle co: wziął na siebie przewiezienie bagażu i dużego kufra! Więc czyż nie dobry? One zaś obie, narzeczona i matka, umówiły sobie chłopka-woźnicę i furkę przykrytą rogożą (przecie i ja tak jeździłem)! To nic! Wszak to tylko dziewięćdziesiąt wiorst, «a dalej sypniemy sobie trzecią klasą» tysiąc wiorstek. Bardzo rozsądnie: wedle stawu grobla; ale co pan na to, panie Łużyn, hm? Przecie to pańska narzeczona... I pan nie mógł nie wiedzieć, że matka na tę podróż zapożycza się pod zastaw emerytury? Naturalnie, macie wspólny obrót handlowy, przedsiębiorstwo oparte na obopólnych korzyściach i na równych udziałach, więc też i rozchody po połowie; jak w przysłowiu: chleb i sól — razem,

tytoń — każdy dla siebie. Ale i tu człowiek interesu z lekka je naciągnął: przewóz bagażu kosztuje taniej niż ich przejazd, a jak dobrze pójdzie, to i za darmo. Więc jakże? Czy one tego nie widzą, czy też umyślnie zamykają oczy? A w dodatku są zadowolone, dalibóg! I pomyśleć, że to dopiero początek; że im dalej w las, tym więcej drzew! Bo o co mi chodzi? Mniejsza o skąpstwo, mniejsza o lichykrupstwo, grunt to ten ton wszystkiego. Przecie to zapowiedź tonu późniejszego, tonu po ślubie... I z jakiej to racji mama się zrobiła taka szczodra? Z czym przybędzie do Petersburga? Z trzema rublami czy z dwoma «papierkami», jak mówi... tamta... starucha... hm! Na co liczy, z czego zamierza żyć w Petersburgu? Przecie na podstawie jakichś oznak już rozumiała, że z Dunią nie będzie mogła mieszkać po jej zamążpójściu, nawet na początek. Przyjemniaczek widocznie «wygadał się», dał „poznać po sobie, choć mama się tego wypiera z całych sił: «Ja sama odmówię». Więc na co i na kogo liczy? Na sto dwadzieścia rubli emerytury, z potrąceniem należności Afanasja Iwanowicza? Robi na drutach jakieś tam zimowe chusteczki, wyszywa mankieci, psuje stare swoje oczy. Ale chusteczki dodają do owych stu dwudziestu rubli wszystkiego dwadzieścia rubli na rok, przecież wiem. Więc mimo wszystko rachuje na szlachetne uczucia pana Łużyna: «Sam zaproponuje, będzie się napraszał.» Nadstawiaj kieszeni! I to zawsze tak bywa z tymi schillerowskimi pięknoduchami: do ostatniej chwili stroją człowieka w pawie piórka, do ostatniej chwili oczekują dobra, nie zła; i choć czują pismo nosem, za nic w świecie nie powiedzą sobie prawdy zawczasu; skracają się na samą taką myśl; oburącz opędzają się prawdzie — aż do momentu, gdy upiękuszony przez nich człowiek własnoręcznie puści im fimfę w nos. Ciekawe, czy pan Łużyn ma ordery? Założę się, że ma order Anny i że go wkłada, idąc na obiad do przedsiębiorców lub kupców. Może i na swój ślub go włoży! Zresztą, pal go diabli!...

...No, mama jak mama, Bóg z nią, taka już jest; lecz jakże Dunia? Dunieczko, kochanie, przecie ja ciebie znam! Przecie miałaś już dwudziesty rok, kiedyśmy się widzieli ostatnio: już wtedy cię rozgryzłem. Mama pisze, że «Dunieczka wiele potrafi znieść». Ja to wiedziałem,

moja pani. Ja to wiedziałem już półtrzecia roku temu i od tego czasu przez dwa i pół roku myślałem o tym, o tym właśnie, że «Dunieczka wiele znieść potrafi». Skoro potrafiła znieść pana Świdrygajłowa, z całym dobrodziejstwem inwentarza, to już wystarczający dowód, że istotnie potrafi znieść wiele. A teraz ubrdały sobie z mamą, że można znieść również i pana Łużyna, który wyklada teorię o zaletach żon wyciągniętych z nędzy i wszystko mężom zawdzięczających, a na dobitkę wyklada to omal że nie przy pierwszej bytności. Ha, przypuśćmy, że się «wygadał», choć to wyznawca racjonalizmu (wobec czego sądzę jednak, że wcale się nie wygadał, lecz, owszem, chciał od razu postawić rzecz jasno); ale Dunia, Dunia? Przecie ona go widzi na wyłot i przecie z tym człowiekiem ma żyć. Wiem, że ona się raczej zgodzi jeść tylko czarny chleb i popijać wodą niż zaprzedać duszę; a swej moralnej niezależności nie odda za żadne wygody życiowe; za księstwo udzielne, za cały Szlezwik-Holsztyn jej nie odda, cóż dopiero za pana Łużyna. Nie, Dunia była nie taka, o ile ją znałem, no i... na pewno nie zmieniła się i teraz. Świdrygajłowowie są ciężcy, ani słowa!... Ciężko jest za dwieście rubli rocznie całe życie kołatać się jako guwernantka od dworu do dworu, ale ja i tak wiem, że moja siostra raczej służyłaby jak Murzynka u plantatora, jak Łotyszka u bałtyckiego Niemca, niżby upodliła swą duszę i poczucie moralne związkiem z człowiekiem, którego nie szanuje i z którym nic nie ma wspólnego — związkiem na wieki, jedynie dla swej osobistej korzyści! Chociażby pan Łużyn był ze szczerzego złota, chociażby był brylantowy, ona i wtedy nie zgodzi się zostać ślubną nałożnicą pana Łużyna! Więc czemuż teraz się zgadza? W czym tu sęk? Gdzie rozwiązanie tej zagadki? Sprawa prosta jak drut: nie sprzedalaby siebie dla własnej wygody, nawet dla ocalenia siebie od śmierci, lecz dla kogo innego — gotowa się sprzedać! Sprzeda się dla miłego, dla ubóstwianego człowieka! W tym też tkwi cały sęk: dla brata, dla matki zaprzeda siebie, zaprzeda wszystko! O, tutaj, w razie konieczności, gotowiliśmy wziąć w łyka nasze poczucie moralne; naszą wolność, spokój, nawet sumienie — wszystko, wszystko poniesiemy na targ. Niechaj przepada życie! Byleby tylko te nasze najukochańsze

istoty były szczęśliwe. Nie dość tego: wynajdziemy własną kazuistykę, sięgniemy po naukę do jezuitów i na pewien, czas, kto wie, uspokoimy sami siebie, wmówimy sobie, że właśnie tak być powinno, bo cel jest dobry. Oto jacy jesteśmy — wszystko tu jasne jak dzień. Jasne, że tym, o kogo tu chodzi, kto stoi na pierwszym planie, jest nie kto inny, tylko Rodion Romanowicz Raskolnikow. Bo i jakże? Dunia może mu stworzyć szczęście,łożyć na jego uniwersytet, zrobić go współwłaścicielem kancelarii, zapewnić mu karierę; niewykluczone, że w przyszłości będzie bogaczem, umrze zaś jako człowiek szanowany, honorowany, może nawet sławny! Matka? Matce chodzi o Rodię, nieoszacowanego Rodię, o pierworodne dziecię! Czyż można dla takiego pierworodnego nie poświęcić nawet takiej córki? O miłe, o niesprawiedliwe serca! Ha, w razie czego gotowiśmy się zgodzić nawet na los Sonieczki! Sonieczka, Sonieczka Marmieladowa, wiekuista Sonieczka, dopóki świat światem! Ale czyście w pełni zgłębiły tę ofiarę? Co? Czy sił wystarczy? Czy to pożyteczne? Rozsądne? Czy wiesz, Dunieczko, że los Soni zgoła nie jest gorszy od losu przy boku pana Łużyna? «O miłości nie ma tu mowy» — pisze mama. Dobrze, ale jeśli nie tylko o miłości, lecz i o szacunku nie ma mowy, a za to już teraz jest odraza, pogarda, wstręt — cóż wtedy? Wtedy się okaże, że trzeba będzie «dbać o schludność». Może nie? Czy rozumiesz, czy rozumiesz, co oznacza owa «schludność»? Czy rozumiesz, że schludność Łużynowska jest tym samym co i schludność Sonina, a może nawet gorsza, plugawsza, podlejsza, bo mimo wszystko ty, Dunieczko, rachujesz jednak na pewną nadwyżkę zbytku, a tam idzie po prostu o uniknięcie śmierci głodowej! Drogo, drogo, Dunieczko, kosztuje schludność owa! A jeżeli później nie starczy ci sił? Jeżeli pożalujesz? Ileż wtedy bólu, smutku, przekleństw, łez w Ukryciu! Bo jednak ty nie jesteś Marfą Pietrowną. A co będzie wtedy z matką? Wszak ona już dziś jest niespokojna, już dziś się trapi, a wtedy gdy wszystko przejrzy? No a ze mną?... Na litość boską, co ty sobie o mnie myślisz? Nie chcę twojej ofiary, Dunieczko, nie chcę, mamusi! To się nie stanie, póki ja żyję, nie stanie, nie stanie! Nie przyjmuję!». Ocknął się nagle i zatrzymał.

„Nie stanie? A cóż ty zdziałasz, żeby to się nie stało? Zabronisz? A czy masz prawo po temu? Co możesz im przyrzec ze swej strony, ażeby posiadać takie prawo? Może obiecasz im poświęcić całą swą przyszłość, całe życie? Gdy ukończysz nauki i otrzymasz posadę? Jużemy to słyszeli, ale to przecie gołąb na sęku, a co dziś? Toż tutaj trzeba coś zrobić natychmiast, rozumiesz czy nie rozumiesz? A co ty teraz robisz? Siedzisz im na karku. Skąd one biorą pieniądze? Pod zastaw sturublowej emerytury, pod zastaw znajomości z panami Świdrygajłowami! A w jaki sposób ty je obronisz od Swidrygajłowów, od Afanasja Wachruszyna, przyszły milionerze, Zeusie rozrządzający ich losem? Za dziesięć lat, powiadasz? Ależ za dziesięć lat matka zdąży oślepnąć od chusteczek, jeżeli nie od łez; zmarnieje z niedojadania. A siostra? Spróbuj się domyślić, co może stać się z siostrą za dziesięć lat albo w ciągu tych lat dziesięciu? Domyśliłeś się?”.

Tak oto dręczył siebie i jątrzył tymi pytaniami, nawet z pewną lubością. Zresztą nie były to pytania nowe ani nagłe, lecz owszem, dawne, dobrze znane, bolesne. Już dawno zaczęły go nękać i stargały mu serce na nic. Od niepamiętnych czasów zrodziła się w nim ta cała obecna udręka, narastała, wzbierała, a ostatnio dojrzała i skupiła się, przybierając kształty okropnego, dzikiego i urojonego pytania, które zameczyło mu serce i umysł, natrętnie żądając rozwiązania. Teraz list matki uderzył w niego jak piorun. Było jasne, że teraz należy nie utyskiwać, nie cierpieć biernie, nie rozmyślać z bólem, że te pytania są nierozwiązalne, lecz koniecznie coś przedsięwziąć — i to zaraz, natychmiast. Za wszelką cenę trzeba się na coś zdecydować albo...

— Albo wyrzec się życia całkowicie! — zawołał nagle w zapamiętaniu. — Pokornie przyjąć los, jaki się nastęrczy, raz na zawsze, i stłamsić w sobie wszystko, zrzec się wszelkiego prawa do działania, życia i miłości!

„Czy pan rozumie, czy pan rozumie, panie szanowny, co to znaczy, gdy już nie ma dokąd pójść?” — przypomniało mu się znienacka wczorajsze pytanie Marmieladowa. „Albowiem trzeba, żeby każdy człowiek miał jakiekolwiek miejsce, dokądby mógł pójść...”.

Wzdrygnął się: pewna myśl, również wczorajsza, śmignęła mu w głowie. Lecz drgnął nie dlatego, że śmignęła ta myśl. Przecie wiedział, przeczuwał, że „śmignie” ona nieuchronnie, i z góry jej czekał; a na dobrą sprawę, myśl ta bynajmniej nie była wczorajsza. Z tą jednak różnicą, że przed miesiącem, ba, jeszcze wczoraj, była tylko majakiem, teraz zaś... teraz ukazała się nagle nie jako majak, lecz w jakiejś nowej, groźnej i zgoła mu jeszcze nieznanej postaci, a on nagle uprzytomnił to sobie... Krew uderzyła mu do głowy, w oczach pociemniało.

Rozejrzał się pośpiesznie, szukał czegoś. Chciał usiąść, więc szukał ławki; siedł zaś bulwarem K-skim. Zobaczył ławkę o sto kroków przed sobą. Ruszył możliwie najprędzej; lecz po drodze przytrafiła mu się drobna przygoda, która na kilka minut pochłonęła całą jego uwagę.

Wypatrując ławeczki zauważył o jakie dwadzieścia kroków przed sobą idącą kobietę, ale zrazu nie zwrócił na nią uwagi, jak nie zwracał jej dotychczas na żadne otaczające go przedmioty. Na przykład, wielokrotnie mu się zdarzało wrócić do domu i zupełnie nie pamiętać, którędy siedł, i już się przyzwyczaił tak chodzić. Jednak w tej kobiecie było coś tak dziwnego, coś tak rzucającego się w oczy od pierwszego spojrzenia, że stopniowo uwaga Raskolnikowa zaczęła do niej przywierać — z początku niechętnie i jakby opornie, potem coraz mocniej a mocniej. Zapragnął naraz zrozumieć, co mianowicie jest w tej kobiecie takie dziwne? Po pierwsze, ta prawdopodobnie dziewczyna, i to bardzo młodziutka, szła w taki skwar bez kapelusza, bez parasolki i bez rękawiczek, jakoś śmiesznie kołysząc rękami. Miała na sobie sukienkę z lekkiego jedwabiu — „materialną” — lecz i ta sukienka była cudacznie włożona, ledwie pozapinana, a z tyłu, w pasie, gdzie się zaczyna spódnica, rozdarła tak, że cały strzep odstawał i fruwał. Na gołą szyję miała narzuconą chusteczkę, lecz i ta sterczała jakoś krzywo, bokiem. Na domiar dziewczyna szła niepewnie, potykając się i nawet zataczając. To spotkanie pobudziło wreszcie wszystką uwagę Raskolnikowa. Zetknął się z dziewczyną tuż przy ławce, lecz ona, zaledwie dotarłszy do ławki, padła na nią w kąciku, odrzuciła głowę na oparcie i zamknęła oczy, widocznie

wyczerpana do ostateczności. Spojrzawszy na nią pojął od razu, że jest zupełnie pijana. Dziwny i niesamowity widok. Przyszło mu nawet do głowy, że może się pomylił. Miał przed sobą twarz młodzieńką, twarz dziewczyny szesnasto- lub może dopiero piętnastoletniej — drobną, okoloną włosami blond, ładniutką, lecz rozpaloną i jak gdyby obrzmiałą. Zdaje się, że dziewczyna była już ledwie przytomna, zarzuciła nogę na nogę, wystawiając ją przy tym na widok znacznie ponad utarte zwyczaje; wszystko wskazywało, że nie zdaje sobie sprawy, iż jest na ulicy.

Raskolnikow nie usiadł i nie chciał odejść; ot, stał przed nią zafrasowany. Na tym bulwarze było zawsze pusto; teraz zaś, o drugiej po południu i w taki upał nie było prawie żywej duszy. A tymczasem opodał, o jakie piętnaście kroków, na krawężniku bulwaru zatrzymał się jeszcze jeden jegomość, który najwidoczniej miał także wielką ochotę podejść do dziewczyny, w wiadomych sobie zamiarach. Prawdopodobnie i on także zobaczył ją z daleka i ścigał, lecz przeszkodził mu Raskolnikow. Rzucił na niego złe spojrzenia, starając się jednak, by tego nie zauważył, i niecierpliwie oczekiwał swojej kolei, gdy uprzykrzony obdartus odejdzie. Sprawa była jasna. Jegomość ten miał ze trzydzieści lat, był krępy, tłusciutki — krew z mlekiem, różowe wargi, mały wąsik; ubrany był bardzo elegancko. Raskolnikow się rozjuszył; nagle przyszła mu ochota obrazić strojnego tłuscioszka. Na chwilę porzucił dziewczynę i podszedł do jegomościa.

— Ej, mój panie Swidrygajłow! Czego pan tu szuka? — krzyknął zaciskając pięści i śmiejąc się spienionymi ze wściekłości ustami.

— Co to ma znaczyć? — ostro zapytał jegomość, marszcząc brwi i wyniośle się dziwiąc.

— Fora ze dwora, ot, co to znaczy!

— Jak śmiesz, kanalio!...

I zamierzył się laseczką. Raskolnikow runął na niego z pięściami, nie rozważywszy nawet, że ów krępy jegomość mógł sobie łatwo poradzić z dwoma takimi jak on. Ale w tej chwili ktoś mocno uchwycił go z tyłu. Między nimi stał policjant.

— Panowie, dajcież pokój, nie wolno się bić w miejscach publicznych. Czego panu potrzeba? Coś pan za jeden? — surowo zwrócił się do Raskolnikowa, widząc jego lachmany.

Raskolnikow przyjrzał mu się bacznie. Była to pocziwa żołnierska twarz, z siwym wąsem i bokobrodami, o roztropnym spojrzeniu.

— Właśnie was mi potrzeba — zawołał, chwytając go za rękę. — Jestem byłym studentem. Raskolnikow... Tego i pan może się dowiedzieć — zwrócił się do jegomościa. — A wy chodźcie no tu, coś wam pokażę...

I pociągnął stójkowego za rękę do ławeczki.

— Patrzcie: zupełnie pijana, tylko co szła bulwarem — nie wiadomo, co za jedna, lecz nie wygląda na zawodową. Najpewniej spojono ją gdzieś i skrzywdzono... po raz pierwszy... rozumiecie? A potem wypuszczono na ulicę. Patrzcie, jaka rozdarta sukienka, spójrzcie, jak włożona; widać, że ktoś ją ubierał, nie sama się ubierała, ubierały ją zaś ręce niewprawne, męskie. To widać. A teraz spójrzcie tu: ten facet, z którym miałem się bić, jest mi nie znany, pierwszy raz go widzę; ale on także wziął ją na oko po drodze, przed chwilą — pijaną, nieprzytomną — i teraz okropnie mu się chce podejść i złapać ją, ponieważ ona jest w takim stanie, i gdzieś zawieźć!... Na pewno jest tak, jak mówię, wierzcie mi, że się nie mylę. Sam widziałem, jak ją obserwował i śledził, tylko że mu popsulem szyki, więc teraz czeka, żebym się wyniósł. Ot i teraz odszedł troszeczkę, stoi, udaje, że skręca sobie papierosa... Co mamy zrobić, żeby mu jej nie dać? Jak mamy ją odprawić do domu, zastanówcie no się!

Stójkowy w mig wszystko pojął i zmiarkował. Co do tęgiego jegomościa, nie było co się wahać, oczywiście; lecz pozostawała dziewczyna. Stary żołnierz pochylił się nad nią, przyjrzał badawczo i szczerze współczucie odbiło się w jego rysach.

— Ach, pożałuj się Boże! — rzekł, kiwając głową. — Zupełne jeszcze dziecko. Skrzywdzili ją, jak amen w pacierzu. Proszę pani! — zaczął ją budzić. — Gdzie pani mieszka?

Dziewczyna otworzyła zmęczone, osowiałe oczy, tępo popatrzyła na pytających i machnęła ręką.

— Słuchajcie — rzekł Raskolnikow — weźcie to — poszukał w kieszeni i jakimś cudem znalazł dwudziestkę — zawołajcie dorożkę i każcie odstawić ją wedle adresu. Musimy koniecznie dowiedzieć się adresu!

— Panienko, hej, panienko! — podjął stójkowy, biorąc pieniądze — zaraz zawołam dorożkę i sam panienkę odwiozę. Dokąd pani każe, co? Gdzie pani zamieszkuje?

— Od... czepcie się!... — wymamrotała dziewczyna i znowu opędziła się ręką.

— Ach, ach, jak nieładnie! Ach, jaki wstyd, panienko, jaki wstyd! — Znów pokiwał głową, wstydząc ją, żalując jej i oburzając się. — To mi orzech do zgryzienia! — rzekł do Raskolnikowa, przy czym znowu obejrzał go nieznacznie od stóp do głów. Widać i on także wydał mu się dziwny: obszarpaniec, a szasta pieniędzmi!

— Daleko stąd znalazł ją pan? — zagadnął.

— Przecie mówię: szła przede mną, zataczając się, tu na bulwarze. Kiedy podeszła do ławki, zaraz się zwała.

— Ach, jaka to teraz sromota rozplenila się na świecie, Panie święty! Taka smarkata, a już pijana! Skrzywdzili ją, jak Bóg w niebie! I sukienka rozdartą... Ach, co to za rozpusta dzisiaj!... Może nawet ze szlachty, z jakiejś podupadłej... Teraz dużo takiej się namnożyło. Wygląda mi na delikatniejszą, niby prawdziwa panienka. — I znów pochylił się nad nią.

Może i on sam miał dorastające córki — „niby prawdziwe panienki, z tych delikatniejszych”, z pretensjami do dobrego wychowania i ze wszelkimi nabytymi już fochami...

— Grunt — troskał się Raskolnikow — to, żeby jej nie dać temu podlecowi! Gotów do reszty ją zbecześcić. Widać na wylot, czego mu się zachciewa; patrzcie go, drania jednego: nie odchodzi!

Raskolnikow mówił głośno i bez ceregieli wskazywał na niego ręką. Tamten usłyszał i chciał się rozniewać, ale dał pokój i poprzestał na wzgardliwym spojrzeniu. Potem wolniutko odszedł jeszcze z dziesięć kroków i znowu przystanął.

— Nie dać mu jej, owszem, to można — odparł w zadumie były sierżant. — Żeby tylko powiedziała, gdzie ją odstawić, no bo tak... Panienko, hej, panienko! — pochylił się znowu.

Wtem otworzyła oczy szeroko, uważnie spojrzała, jakby pojęła coś, wstała z ławki i ruszyła z powrotem tam, skąd przyszła.

— Tfu, bezwstydni, czepiają się! — mamrotała, raz jeszcze czyniąc ruch odpychania. Szła szybko, ale zataczając się jak przedtem. Elegant podążył za nią, lecz po drugiej stronie alei, i nie spuszczał jej z oczu.

— Niech pan będzie spokojny, nie dam jej! — stanowczo zapowiedział wąsał i poszedł za nimi.

— Ech, jaka to teraz rozpusta! — powtórzył głośno, wzdychając.

W tej chwili jakby giez uciął Raskolnikowa; jakby go coś błyskawicznie odmieniło.

— Hola, słuchajcie no tam! — krzyknął za odchodzącym wąsałem. Ten się obrócił.

— Dajcie pokój! Co wam do tego? Zostawcie! Pal go licha, niech się zabawi — wskazał na eleganta. — Czy to wasz interes?

Policjant nie rozumiał i wytrzeszczał na niego oczy. Raskolnikow zaniósł się śmiechem.

— E-et! — mruknął stójkowy, machnął ręką i podążył za gagatkiem i dziewczynką, prawdopodobnie biorąc Raskolnikowa bądź za wariata, bądź za coś jeszcze gorszego.

— Moje dwadzieścia kopiejek wziął — ze złością bąknął Raskolnikow, zostawszy sam. — Teraz niech weźmie również od tamtego ananasa, później niech puści z nim dziewczynkę i na tym wszystko się skończy... Po co się wtrącałem z pomocą! Śliczny ze mnie pomocnik, nieprawdaż? Czy ja mam prawo pomagać? Choćby się nawzajem popołykali żywcem — co mi do tego? I kto mi pozwolił wydać te dwadzieścia kopiejek? Czyż one są moje?

Mimo te czupurne słowa zrobiło mu się bardzo ciężko na duszy. Usiadł znowu na ławce. Myśli jego były w rozsypce. W ogóle trudno mu było myśleć w tej chwili o czymkolwiek. Rad by odrętwieć do cna, zapomnieć o wszystkim, potem się obudzić i zacząć zupełnie na nowo...